

LESŁAW BARTELSKI

NOWE I STARE

Dziakujem wam za chleb, za soul, za kaszu i za przyjaźń waszą
Przystawie białoruskie

14 lipca 1955 r.

Centralna arteria, prospekt Stalina, wydaje się nie mieć końca. Ciągnie się kilometrami. Budynki mieszczą się w oczach, z centrum wjeżdżamy w przedmieście, co widoczne jest w usytuowaniu nowych, wspaniałych bloków mieszkalnych obok parterowych drewniaków. Przy ulicy — sosny na piaskach, jakby miasto wpływało w las.

Zatrzymujemy się przed pięknym kremowym budynkiem wyglądającym na podmiejską stację. To „Młoda Białoruś”, część młodzieżowego parku kultury, gdzie mieści się mająca ponad cztery kilometry długości kolejka. Prazzy mocno lipcowe słońce, gdy tak z niecierpliwością czekamy na jej przyjazd. Naczelnik stacji, młodzieniec o nikłym jeszcze zurościu, informuje, że otwarcie odbyło się przed dziesięcioma dniami, kolejka stanowi więc wielką atrakcję. Peron pełen dzieci i rodziców.

Z lasu sosnowego wynurza się lokomotywa wąskotorówki, na stopniach wagonów stoją dziewczęta z chorągiewkami w dłoniach — maie konduktorki. Wprawiają się, pełne poczucia zawodowej dumy, bowiem służba kolejowa w ZSRR opiera się w dużej mierze na kobietach.

Wracamy do miasta. Usiłuję podchwycić jego charakter. Nie udaje mi się. Jeszcze na to, widać, nie czas. W każdym razie Mińsk robi wrażenie całkowicie odbudowanego, nie znając tych śladów wojny, jakie ma Warszawa. Powód prosty — śródmieście przestało być tutaj placem budowy, jest integralną częścią miasta, co więcej — jest jego rzeczywistym centrum.

15 lipca

Lubię spacerować niezaplanowaną, wynikającą z jakiejś wewnętrznej potrzeby, nie tylko z chęci poznania miasta. Idę więc późnym popołudniem przed siebie, mijam gwarny prospekt Stalina i wchodzę w boczne uliczki. Dochodzę do rzeki.

Nad Świsłoczą, powolną rzeką rownin, niewiele większą od podwarszawskiego Świdra choć na oko głębszą, spotyka się stary Mińsk z nowym. Rzeka przez miasto płynie zakosami, ociera się o wzgórze i rozlewa na błoniach. Parterowe lub najwyższe piętrowe szare drewniak, zgęszczone w zaułkach, sąsiadujące z murowanymi wprawdzie, lecz o wyglądzie wiejskich zabudowań dworaków o ciemnych dachówkach kontrastują swym prowincjonalnym charakterem ze wspaniałym, wystawionym przed wojną na Troickiej Górze jasnym gmachem Opery i Baletu, projektu jednego z czołowych architektów Białorusi, Langbarda. Za rzeką, na odsłoniętej płaszczynie w młodej zieleni bliższy niby kredowa skała ten gmach, uroczysty jakiś, imponujący, przypominający w swym ogromie, a nawet i kształcie Halę Ludową we Wrocławiu.

Świsłocz tutaj wypływa ze starego Mińska, przytykając do niej tyły posesji, drewniane opłotki, na których się suszy bielezna. Tamten Mińsk jest bardziej swojski, znany — ciasne uliczki o bruku pokrytym kurzem, domy zgarbione pod ciężarem spadających dachów, ciemne niszki bramy. W nowym zaś jest wspaniałe metropolii wyczarowana nieco magicznym gestem, lecz w tej nowości — przynajmniej do tego — tkwi dla mnie jakaś nieuświadomiona sobie bliżej obcość. Nasz wiek nie odkrył jeszcze swego stylu — szuka. Może więc od ścian dopiero co odjęto rusztowania i oko nie zdolało się z nowym widokiem oswoić? Architektura stała się po wojnie najdemokratyczniejszą ze sztuk; ocenia ją każdy, i więcej — każdy chce ją poprawiać. Można odrzucić tom wierszy czy prozy, lecz dom nie może pozostać pusty. Potrzeba rodzi demokratyzację sztuki, ale także i ostrość ocen.

Piękny jest ten nowoczesny Mińsk: szerokie jasne ulice, wysokie przyozdobione budynki. Piękny, lecz jakiś nieracjonalny. Nie miasto — raczej wystawa. Nawet troška o zindywidualizowanie domów wydaje się podporządkowana ogólnym założeniom, nie zaś temperamentowi i talentom architektów. Błądząc po starym Mińsku wiem, że trudno w nim mieszkać, pewna niechlujna malowniczość ma wagę tylko dla turystów, lecz kiedy wejść w nowy, myślę jednak z sympatią o starym. Może dlatego, że są to dwa miasta różne, niespojęne jeszcze w jedną całość, nie obrósłe tak, by je nie można odróżnić. Boczne pędy strzaskanego drzewa mogą być silne i piękne, lecz dopiero kiedy nakryją i przelonią drzewo, dostrzegamy ich walor.

18 lipca

Słońce gra złotem na liściach drzew. Nad nami i przed nami szklana równina. Jasny błękit prawie matowy, zwierający się ciemną ścianą lasu przywodzi na pamięć ujętane wczoraj po raz pierwszy w życiu jezioro Świsłecz. Jak o-błok zanurzony w borach odbija się ono i prześwieca poprzez gałę-

zie, gdy podchodzić ku niemu niecierpliwym krokiem. Wiatr muska powierzchnię, chwiewa się szuwały, woda jasna, że dno przy brzegach dojrzyć można. Piaszczyste białe dno. A wokół lasy. Czarniawe olchy pochylają się nad wodą.

Jedziemy na Mohylew. Dawno już za nami został na pagórkach Mińsk szarzejący z oddali niby olbrzymi, nisko ścięty pniak. Zestawiam nowogrodzkie strony z pejzażem, który mijamy. Tu przestrzeń płaska, łąki o odcieniu popiołu, tam — mocno zieleniejące wzgórza jak winne grona. Tu bezmiar płaszczyny pod płytkim niebem, tam niebo zagubione w lasach i łąkach jak źródło. Tu zieleni ma barwę zgaszoną i senną niby siwe ogrodywe świerki. Tam każde drzewo, każdy krzak, każde źdźbło wydaje się być wybuchem zieleni. Poetycka przesada? Może. Lecz nic nie wyrazi siły tamtego krajobrazu, siły pobudzającej wyobraźnię.

Skracamy na południe, z asfaltowej szosy, zjeżdżając na polny trakt, nagi, nieosłonięty cieniem. Z każdą chwilą zbliżamy się do widniejącego na horyzoncie pasma lasów. Niebawem „Zim” kołysze się na piaszczystych wybojach, omija wystające korzenie. Cisza. Czarny duży wóz wydaje się płynąć między drzewami jak łódź. Jesteśmy pośrodku lasu. Gęsty blask spoza pni. Dymne jałowce. Krzaki jeżyn bronią się kołkami skłębione niczym drut kolczasty. Pachnie żywicą i tym nieustalonym zapachem, na który składają się burwiejące liście, skryte we mchu grzyby i namokłe po deszczu podszywie.

Naraz spoza drzew wylania się jakiś budynek. Korolewiczycze, siedziba letnia mińskich literatów, dom pracy. Wysokie sosny ponad głowami. Idziemy w głąb lasu. Na przecięciu parę fińskich domków, prawie miniaturowych. Przed każdym grządkę, trochę jarzyn, ziemniaki, kukurydza. Słoneczniki zwracają swoje pyski ku słońcu. Siadamy w cieniu, pod młodymi dąbkami i brzoškami. Piatruś Browka, prezes Związku Pisarzy Radzieckiej Białorusi, jest tu gospodarzem. Mieszka opodal, w jednym z tych domków. Filip Piestrak, tegi mężczyzna o głowie śniącej jak arbut, patrzy z politowaniem na te grządki. Jarzynom spijają wilgoć drzewa i dłoń gospodarza bardziej przywykła już do pióra, więc urodzaj raczej będzie nienadzwyczajny. Zarówno Browka jak i Piestrak pochodzą ze wsi; większość pisarzy białoruskich to inteligenci w pierwszym pokoleniu. Wyrobiło w nich hart życiowy, zaopatrzyło w bogate doświadczenia, bez których twórczość staje się czymś sztucznym.

Pogoda sprzyja szybkiemu nawiązaniu rozmowy, jest tak piękna, że można ją chwalić bez obawy podsądzenia o hipokryzję. Strzeżę się pilnie, by nie popełnić jakiejś gafy językowej, jak ongiś w „Przedwiośniu” stara Baryczyna (Jadwiga z Dąbrowskich), która wślawiła się zapytaniem moskiewskiego jam-szczyka o „płochę bruki”. Staram się mówić mało, rzeczowo, wtracając na wszelki wypadek co trzecie zdanie: „da, da, da”. Zresztą i tak Arnold Śluka nie daje mi dojść do słowa. Siedzę więc milcząco, wpatrując się z uwagą w rozmówców.

Piatruś Browka. Syn chłopski spod Witebska. Twarz jak artykuł wstępny — prosta, mocna i szczerą. Należy do pokolenia, dla których pierwsze lata Republiki są żywym wspomnieniem. W jego życiu nie było wahań, poświęcił je walce. Aktywny komсомолец, w latach wojny korespondent prasy frontowej i partyzanckiej swą poezję oddał bez reszty Październikowi.

Filip Piestrak. Stary komunista z KPZB. Jedenaście lat więzienia w Polsce przedwzrzesniowej za działalność w „Hramadzie”. Kapral 8 PAC-u z Tuornia. Prosty, dobroduszny, z dużym wycuciem humoru. Coraz to rzuca jakiś żart i sam śmieje się najgłośniej. Oczy ma szare, prawie stalowe, życzliwe, gdy jednak mówi o sprawach, które go boją, te oczy stają się złe. Przeciwnik niebezpieczny, w przyjaźni nie zawiedzie. Pisać zaczął właściwie przed paroma laty, jego ostatnia powieść „Spotkamy się na barykadach”, oparta na motywach autobiograficznych, przyniosła mu duży sukces.

Iwan Szamiakin. Prozaik. Z pokolenia wychowanego w ustroju radzieckim, pokolenia, na które spadł ciężar wojny i odbudowy zniszczonego. Opanowany, spokojny, ze skłonnościami do tycia. Laureat Nagrody Stalinowskiej za powieść partyzancką „Głęboki nurt”. Wiceprezes Związku Literatów. Mój rówieśnik.

Hawrił Wieresow. Działacz kulturalny, przewodniczący BIEŁOKSU (odpowiednik Komitetu Współpracy z Zagranicą), znany radziecki szachista, mistrz międzynarodowy, poseł do Rady Najwyższej Republiki. Umysł matematyczny, choć z wykształcenia humanista. Zdaje się być blokiem zakrzepłej stali, którą rozpalic może jeden nieostrożny ruch koniem na szachownicy. Przenikliwy, pełen serdeczności z natury, nie z racji urzędu.

Jewhienij Romanowicz. Dramaturg i krytyk teatralny. Przystojna szlachetna twarz, siwe lekko falu-

jące włosy. W jego naprawdę czarującym uśmiechu światowca kryje się drwina.

Włodzimierz Stelmach, „duszącawałowiek”. Ten prawie pięćdziesięcioletni mężczyzna, z pozoru ociężały jak niedźwiedź, niezłej tuższy nie przestaje być młodym chłopcem. Należy do tych, których dobroć i prostoduszność daje się łatwo wykorzystywać. Teatrológ. W roku ubiegłym ukończył zaocznie wyższe studia, obecnie jest na aspi-ranturze. Radny miasta Mińska. Kiedy idziemy z nim ulicami, gdyż jest naszym najtroskliwszym opiekunem, na każdym kroku witają go uśmiechy, życzliwe spojrzenia i pełne pufalości ukłony. Na pewno jest z całym Mińskiem na ty.

*

Niepostrzeżenie mijają godziny i nie możemy się nagađać. Spacerujemy tymczasem po lesie i łąkach, przebijamy się zarosłymi zielskimi duktami nie zważając na to, jest przecież o czym dyskutować. Niech mi nikt nie mówi o przyjaźni „na ślepo”, przyjaźń jest przecież funkcją wzajemnego poznania się. Dlatego jesteśmy tak zachłanni tutaj na każde ich słowo, jak i oni na nasze, nie znamy się, nasze literatury są jak dwa wiązadła wielkiego nurtu, które nie mogą się spotkać, mimo iż przepływają obok. Wprawdzie literatura polska jest na pewno bardziej znana na Białorusi niż białoruska u nas, ale ileż jeszcze zaległości! Śmiem twierdzić, że w tym kierunku nie zrobiono jeszcze pierwszego kroku. Przyjaźń nie może być fikcją, musi być wsparta konkretnymi. Naszej książki, naszego czasopisma w Mińsku nie można dostać, czy nie powinna być tam czytelnia i księgarnia? Jest to wina naszego nieruchawego aparatu administracyjnego, który wprawdzie jest młody, ale już dostatecznie skostniały, by nie podolać pewnym zadaniom. I powtarzam raz jeszcze — nie może być przyjaźni bez wzajemnego poznania się, bez tych podstawowych warunków, które naprawdę są nieodzowne. A czyż u nas, w Białymstoku, jeśli już nie w Warszawie, nie powinien powstać ośrodek kultury białoruskiej?

Mówimy więc o wszystkim, rozmowa przypomina przejażdżkę lodzią po nieznanym terenie, której grunt bada się co chwila. A kiedy wracamy do samochodu, napotyka-my siedzącego na pnio, pod wysoką sosną, Jakuba Kołasa. Staruszek powstaje, ściska nam mocno dłoń i patrzy w oczy. Jest to spojrzenie człowieka, którego nie myli instynkt.

Wyjeżdżamy z przekonaniem, że dzień ten nie poszedł na darmo. Browka żegna nas serdecznie białoruskim:

— Bywajcie zdrowi.
Odpowiadam wam dzisiaj, przyjaciele stąd, z Warszawy:
— Zdrowi bywajcie, nas ni zabawajcie!

*

Nie wiadomo kiedy pojawiają się kontury Mińska. Cieszę się na jego widok, jakbym powraciał do rodzinnego miasta. Już i siwe łąki nabierają w moich oczach blasku, smutek tej ziemi ma przecież w sobie coś z Mazowsza.

20 lipca

Naczelnik architekt Mińska, inż. Mackiewicz, przyjmując nas w swym olbrzymim gabinecie, mającym w sobie coś z surowości sal szkolnych. Być może, iż ściany obwieszone szkicami, wykresami i planami potęgają nastroj raczej uczel-ni niż miejsca pracy. Rozmowa, z początku chaotyczna, jak zwykle gdy za wiele naraz chcemy się dowiedzieć, z chwilą gdy przechodzimy do konkretnych staję się zwarta i nabiera rzeczowego charakteru. Jest to jak gdyby rozmowa Miń-

JAKUB KOŁAS
(KONSTANTY MICKIEWICZ)

Do starej wioski

Stara, uboga moja wiosko,

całaś w łachmanach, pełna słomy,

ciemność panuje w twoim domu,

a ty się wahasz w dniu przełomu,

oddana niepotrzebnym troskom.

Spójrzj przed siebie ostrym wzrokiem,

poranek dziś niech przed nim stanie,

powitaj nowych dni świtanie

i idź maszynom na spotkanie,

ale gromadą, twardym krokiem!

To „moja ziemia”, „moja pasza”,

„ma łąka”, „koń mój”, „moje krowy” —

brzękają wciąż starymi słowy,

a dziś czas sens im nadać nowy

i zmienić je na „nasz” i „nasza”.

1930

Przełożył K. A. Jaworski



Mińsk. Plac Przydworcowy

Fot. Solowiejczyk

ska z Warszawą. Wprawdzie nie jesteśmy fachowcami, lecz o architekturze wypowiada się dziś każdy, bez względu na uprawnia. Czasem wydaje mi się, że osiągnęliśmy ów stopień świadomości budzący niepokój, że wszystko jest wyjaśnione bez reszty, na którą czekamy. Ale przeczy temu samo życie.

Trochę historii. Do rewolucji drewniany Mińsk był stolicą gubernii, rodzajem zajazdu dla miejscowej szlachty. Liczył sto tysięcy ludzi i poza browarem oraz fabryką maszyn rolniczych nie było innych obiektów o znaczeniu przemysłowym. W mieście przeważali kupcy i rzemieślnicy, robotników był minimalny procent. W 1939 roku Mińsk liczył już dwadzieś cztery-tysięcy mieszkańców, pracowało pięćdziesiąt zakładów, był to przemysł o charakterze lokalnym, zasięgu ogólnoradzieckiego nie posiadał. Rozbudowano szkolnictwo — 42 szkoły średnie, powstały także wyższe uczelnie.

Wojna zahamowała rozwój miasta. Hitlerowcy przeznaczili Mińsk na bazę koszarową, ich plany — w razie zwycięstwa — przewidywały garnizon o sile 5—6 pułków,

odpowiednie koszary oraz domy dla oficerów. Mieszkańców miało pozostać tyłu, ilu potrzeba dla utrzymania takiego garnizonu.

Wojna nie oszczędziła Mińska. Wszystko należało zaczynać od nowa i wypracowywać koncepcję miasta. Znaczyło to nie tylko projektować dzielnice użytkowe i mieszkalne, lecz przede wszystkim zająć się siłą motoryczną miasta socjalistycznego — przemysłem. I gdy Lew Piotrowicz mówi na ten temat, nie ma w sobie nic z architekta, jest ekonomistą. Imponuje nam jego zjawstwo procesów produkcji poszczególnych obiektów przemysłowych, wyniesione na pewno nie z przesłanek teoretycznych, lecz z codziennej praktyki.

Mówiąc o przemysle powojennym pragnę zwrócić uwagę na pewien charakterystyczny szczegół. Białoruś przeżyła po wojnie gwałtowną falę industrializacji. Kraj ten przechodził jak gdyby drugą rewolucję, jej fazy podobnie jak i u nas kształtują ludzi. Nawet z pobieżnych obserwacji można poznać, że to dzisiejsze miasto robotnicze jest jeszcze w dużej mierze nasycone elementem chłopskim, że ten dzisiejszy robotnik jeszcze wczoraj brał kosę podczas żniw do rąk, a może czyni to także i dzisiaj. Tradycje robotnicze są świeże, są to jednak tradycje nie tylko mińskie, lecz i gorkowskie — przyjechali znad Wołgi pracownicy do fabryki samochodów jako instruktorzy i zostali na stałe. Są i charkowskie — fabryka traktorów przysłała swoich ludzi, by pomogli w uruchomieniu nowego niemieckiego na tym terenie obiektu, oni tutaj wrosli i — zostali.

Stolica Białorusi przekształciła się w centrum przemysłu maszynowego. Powstały wielkie giganty jak fabryka samochodów ciężarowych „Zubr”, przeznaczonych dla budownictwa (25-cio tonówki mają koła na wysokość człowieka!), fabryka traktorów „Białoruś”, fabryka rowerów i motocykli (produkuje w obecnej chwili 350 tys. rowerów rocznie, dojdzie za dwa lata do 650 tys., motocykli wypuści w roku bieżącym 10 tys., za dwa lata jej siła produkcyjna dosięgnie 50 tys. sztuk), fabryka łożysk kulkowych, fabryka obrabiarek im. Woroszyłowa, która w tym roku wypuszcza na rynek dziesięć tysięcy ton maszyn. Są to olbrzymy, produkujące już, a jednocześnie rozbudowujące się z każdym rokiem.

Jeśli przyjmiemy za 100 proc. stan przemysłu w 1940 r., w 1944 — 0, to w 1948 r. przemysł osiągnął już stan przedwojenny, zaś w 1954 r. cyfra ta wyrażała się już 460 proc.!

Poludniowo = wschodnie dzielnice Mińska są rejonem przemysłowym. Ma to doniosłe konsekwencje urbanistyczne, bowiem zakłady przemysłowe obrastają osiedlami mieszkalnymi, śródmieście zaś nosi raczej charakter urzędniczy. Nie ma sprzeczności między centrum a przedmieściami zbudowanymi po wojnie. Dzielnica przy fabryce traktorów, jaką przy okazji zwiędzamy, niczym się nie różni od „normalnego” miasta. Nas to zresztą nie dziwi. Na korzyść tego osiedla przemawia natomiast jego położenie. Wydaje się jakby las przyszedł do Mińska. Pośród sosen na piaskach, podobnych otwotkom, stoi miasto. Szerokie brukowane kostką ulice, młode drzewa przemieszane z sosnami, dużo sklepów i zakładów usługowych, przyfabryczne kino. Szybkobieżny tramwaj łączy ze śródmieściem. I wtedy tylko jest on przepełniony, gdy miński „Spartak” rozgrywa swoje spotkanie o mistrzostwo Ligi.

Rozmowa nasza nie kończy się, jak zazwyczaj, wizją przyszłości. Przeciwnie. Przyszłość jest tak natrętna, że trudno do niej nie wrócić. Jest ona czymś trwałym, nieledwie dniem wczorajszym, choć mijają już lata. Trudny, heroiczny początek absorbuje pamięć. I historia w pewnej mierze się toczy, jak u klasyków łacińskich — ab urbe condita, z tym jednak, że miasto powstało w naszych oczach. Jak to było w Mińsku? Wiemy, jak było w Warszawie.

Życie szybko rozstrzygało wszelkie spory teoretyczne, nie przekreślało ich, dawało tylko argumenty i odsuwało czas dyskusji. Trafnie wtedy powiedział miński architektom człowiek, którego tu nazywają „nasz Pantelejmon Kondratjewicz”, ówczesny sekretarz KC. Ponomarenko. — Wybudujecie na prospekcie dwa brzydkie domy, będzie to zły przykład. Wybudujecie dwa piękne — też będzie przykład.

Mieli więc ambicję postawienia dwóch pięknych domów.

21 lipca

Wróciliśmy wczesnym popołudniem znad mińskiego morza. Będzie to jezioro o powierzchni ponad trzydziestu kilometrów kwadratowych. Położone w lasach sosnowych, pod Zdanowiczami, przy linii kolejowej stanie się w roku przyszłym centralnym ośrodkiem wypoczynku i sportów wodnych dla miasta. Przegrodzono Świsłocz w górny bieg szeroką groblą i już dziś wiatr siecze po wodzie falami bijącymi nikłym jak puls dziecka

(Dokończenie na str. 6)

PIATRUŚ BROWKA

NAD DŹWINĄ

Fragmenty

Lesie nad Dźwiną! Słójny lesie!
Nie wiem, czy piękno twe uniesie

Mój wiersz, stawiający smukłe drzewa,
Zielonoszumny twój ocean!

Nad brzegiem Dźwiny płynię w plesniach
Przedziwna twa melodia leśna...

Pamiętam — jako dziecko małe
Już tę melodię pokochałem.

Śpiewałeś mi wśród nocy śpiącej
Swe kolysanki czarujące.

Ach, dziś wspominam dni te mile,
Gdy tu wyrostkiem jeszcze byłem...

Lesie, co mnie otaczasz zewsząd!
Jak sen dzieciństwo dawno pierzchoło

I potem ponad głową moją
Skrzydlate lata mknęły rojem,

Prosząc siwizną moje skronie,
Jak bieli śnieg twych drzew korony.

I choć to dawno było wszystko,
Wciąż widzę — oto jest, tu, blisko:

Zima i gwiazdy, cisza wokół,
Od okna nie odrywam wzroku.

Zaczarowany, jak w teatrze
Na las młeczają patrzę, patrząc...

Śnieg białą szatą go ozdobił,
Las — ręką sięgnąć — tuż przy tobie

Stoi zakłętą, zadumany
Jak w bajce od dzieciństwa znanej!

Wśród sosen, spod śnieżystych powiek,
Niczym w sobolach bojarowie,

Patrzę na siebie świerki, które
Nieme i dumne pną się w górę.

Stoją — podobne i wysokie,
Wierzchołka ich nie dojrzyj okiem.

Jeden gdzieś tak się w górę schował,
Ze na nim księżyc wyładował...

Poniżej zaś, co kilka kroków,
Cały ród młodych, jakby wokół

Matki zebrany... Nicco dalej
Głową dąb podniósł okazale

I martwych liści dźwięk miedziany
Strąca z gałęzi już steranych.

Świat śnieżną pokrył się oponczą,
A lasy — nigdzie się nie kończą...

Chcę wiedzieć — duszą się wyrwam —
Co za lasami się ukrywa?

I widzę, jak po dziennym trudzie,
Idą tym lasem jacyś ludzie,

Ich twarze czarne, niczym kora,
A za pasami — błysk topora,

Ida... Śnieg pod nogami chrupie,
A każdy, niczym leśny upiór

Brodali... Mnie zaś strach ogarnia.
A dla nich każdy krok — męczarnia...

Nikt ręki podnieść nie jest w stanie,
Lecz oto w chacie nóg szuranie

Już słychać... I ktoś westchnął z cicha:
— Ech, drwał ma ciężki chleb, u licha...

I nagle do mnie: — Cóż to, mały,
P zez okno wciąż wytrzeszczasz gąły?

Cudeńka widzisz? Nie wysuwaj
Nosa, bo upiór leśny czuwa... —

I znów ze strachu drzę... I kucam
Gdzieś w ciemnym kącie... Znow porzucam

Ten kąt, i już przy stole stoję.
A oni siedzą z ojcem moim, —

I głowę, pochyliwszy nisko,
Do szyby znowu ją przyciskam...

Lesie nad Dźwiną! Słójny lesie!
Nie wiem, czy piękno twe uniesie

Mój wiersz, stawiający smukłe drzewa,
Zielonoszumny twój ocean!

Trzydzieści lat tak tutaj chodzę,
Gawędząc z tobą... Tu, po drodze

Witam się z brzoza w drzew twych tłumie...
Zielony jedwab szumi... szumi...

O brzoza! Ileż dróg na świecie
Przeszedłem! Ale ciebie przecie

Chowałem w sercu wciąż. I nieraz
Byłaś mi siostrą — tak jak teraz.

Był czas, znaczony krwią i grozą,
Jest co wspominać, biała brzoza!

Twa kora, nożem nacinana
Jest, jak na piersi mojej rana.

Liście twe szemrzą... Cisza błoga...
Byłem czołgista... Bilem wroga,

Byś mogła rosnąć, brzoza miła,
Żeby ojczyzna nasza żyła!

Tutaj, w rodzinne moje strony
Znow powróciłem, odmłodzony

I pragnę dzień po dniu kombańnem
Przez pola pędzić urodzajne,

By kołchoz nasz okryła sława,
By ludziom więcej szczęścia dawał!

Wokoło ziemia roześmiana —
Jaka tu u nas zaszła zmiana!

Tutaj przed wielu mieszkań laty
Smolarz posępny — dziad brodały,

Leśny „interes“ jego nie chciał
Dać więcej, niż dwie beczki dziegciu

Raz na rok. Pytał sam: „Czy żyłem?
Ech, niebo tylko zakopieć“.

Brzoza mi szumi swą zielenią,
Ze tej smolarni więcej nie ma,

Las ma już inny wygląd, nazwę...
Ale smolarza odnalazłem!

Żyje tam sobie z roku na rok,
Robotę ważną ma na starość.

Choć brda skryła twarz zupełnie,
Jak żołnierz służbę swoją pełni.

Przez całe lato, całą zimę
Na posterunku z karabinem

Szczęśliwy, dumny, jak bohater
Czuwa przed wielkim kombinatem.

A ten kombinat — niczym miasto!
Inny czas w tym pustkowiu nastał.

Gdzie dawniej była drzew gęstwina
Klub wyrosł... A i drwała mina

Weselsza! Praca go nie gniewa —
Piła nie płacze mu, a śpiewa.

I warkot w lesie w dzień i w nocy, —
Traktory przyszły do pomocy.

A jaki traktor! — zwał, naładuj
Choć cały las — a on da radę!

A las ma wielką wciąż gęstwina,
Patrzę na gwarną drzew rodzinę

I myślę o ubiegłych latach,
Gdy dla całego brano świata

Brzozy i świerki, dęby, które
Spokojnie tutaj pną się w górę!

Lesie nad Dźwiną! Smukły lesie
Twe piękno poprzez świat się niesie!

Włóż się znów przez twe zielenie,
Na wszystko patrzę ze wzruszeniem:

Inne jest życie, znikł czas krwawy,
Inni tu ludzie, inne sprawy...

Lesie nad Dźwiną! Słójny lesie!
Nie wiem, czy piękno twe uniesie

Mój wiersz, stawiający smukłe drzewa,
Zielonoszumny twój ocean!

Jest mi, jak własny dom twój namiot —
Pieszczoty twych zielonych ramion,

Kochało polany twe i cienie,
Kochał zarosła nad strumieniem.

Widzę wśród krzaków szereg dumny:
Miedzianolotych pni kolumny...

Słysz, jak zgrabne brzozy, szepczą,
Niczym gromadka młodych dziewcząt,

A obok, jakby w śnie zamgłonym,
Czule się do nich tulą klony.

A dalej — leśny sztab wyniosły:
Dęby i graby, świerki, sosny.

Patrz, gałęzie swe kolyszą
I nowe głosy dzisiaj słysz.

Już dawno krzywdy czas przeminał,
I drwał z wesołą idzie miną.

Spogląda las — a nad nim zwinnie
Orły szybują, ale inne:

Tam, gdzie błękitnie i podniebnie
Ich skrzydła pobłyskują srebrnie.

Spogląda las — na niebie, w nocy,
Nabiera księżyc dziwnej mocy.

A pod stopami ziemia cała!
Płynęła tutaj rzeczka mała,

A dzisiaj wody w całym borze,
Jakby ktoś porozcinał nozem.

Porozsuwano plastry ziemi,
Kanały płyną między niemi,

A na kanałach pełno wszędzie
Łodzi, podobnych do łabędzi —

Starzy i młodzi zaś wzdłuż brzegu
Do kiubu idą przestronnego.

Dla drwali klub ten światłem świeci,
I dla ich żon, i dla ich dzieci.

Tu drwał sprowadza swą rodzinę,
Niejedną spędza tu godzinę

I wie, że jego są te czasy, —
Ze nie w tym sens, by rąbać lasy,

Ale, że w jego interesie
Jest myśleć wciąż o nowym lesie.

Który by ciągle rósł, i który
Jak po drabinie szedł do góry.

O, jakaż we mnie rośnie wola,
Chcę sadzić lasy, orać pola,

Budować domy, szkoły, drogi,
Prowadzić kombajn przez rozłogi, —

Do samej głębi ziemi dotrzeć, —
Żyć i mieć serce coraz młodsze!

Ojczyste strony moje drogile!
Cóż jeszcze dnam powiedzieć mogę?!

Lesie nad Dźwiną! Słójny lesie!
Nie wiem, czy piękno twe uniesie

Mój wiersz, stawiający smukłe drzewa,
Zielonoszumny twój ocean!

Przełożył Włodzimierz Boruński

KASTUŚ KIREJENKA

MAKSYM ŁUŻANIN

Piatruś Browka

Piatruś Browka, przewodniczący Związku Pisarzy Radzieckiej Białorusi, to poeta, który wyszedł z ludu. Urodził się w 1905 roku pod Witebskiem w rodzinie marońskiego chłopca.

Począwszy od pierwszych zbiorów wierszy i poematów „Burzliwe lata“ (Gady jak sztorom), „Wymowa faktów“ (Pramowa faktami — 1930 r.), „Dzień powszedni Hali Fabrycznej“ (Cechawija budni, 1931 r.), aż do dzieł ostatnich lat — poematów „Stonieczny zakątek“ (Jasny kut), „Dobry przyjaciel“ (Dobry drug), zbiorów wierszy „Droga życia“ (Daroga życia), „Pewnym krokiem“ (Cwiordymi krokami) Piatruś Browka pozostaje poetą-społecznikiem, płomiennym, niezłomnym agitatorom na rzecz przyszłości komunistycznej, który każdym słowem potwierdza słynne zdanie Bielińskiego, że „poeta bardziej niż ktokolwiek inny winien być synem swego narodu“. Głównym tematem jego utworów jest walka o szczęście ludu.

Pełną dojrzałość poetycką osiągnął Browka w poemacie „Kaciarina“ (Katarzyna), wystawiającym drogę narodu białoruskiego, pełną walk i osiągnięć. Poeta z miłością maluje postać prostej kobiety wiejskiej, Katarzyny, która za caratu była robotnicą rolną, w okresie zaś władzy radzieckiej stała się działaczką społeczną. Katarzyna to jak gdyby ucieleśnienie Białorusi.

Pełnię jednak rozwoju talent Browki osiągnął w latach Wielkiej Wojny Narodowej. Pracując w prasie frontowej i partyzanckiej poeta pisze szereg wierszy i poematów, nawołujących do walki. Wśród czytelników radzieckich nie ma nikogo, kto by nie pamiętał takich utworów jego z tego okresu, jak „Poemat o Smolackowie“, bohaterze białoruskim, który oddał życie za ojczyznę przy przerzucaniu blokady Leningradu, jak wiersze „Mińsk“, „Nadzia-Nadziejka“, „Kastus Kalinowski“, „Rana“, „Budźmy się, Białorusi!“, „jak poemat „Bielarus“. W owych ciężkich latach, gdy wielki naród rosyjski i inne bratnie narody dopomagały Białorusi wyzwolić się od najeźdźców, Browka, w poemacie „Bielarus“ raz jeszcze stawia niezachwianą przysięgę narodu radzieckich, dzięki której kraj stał się wolny i szczęśliwy.

W okresie powojennym Piatruś Browka, członek KC Komunistycznej Partii Białorusi, delegat do Rady Najwyższej Republiki, pracuje nader owocnie. Po znanym poe-

macie „Stonieczny zakątek“ — o odbudowie zniszczonego przez wojnę kołchozu — ukazują się poematy „Chleb“ i „Duma o Moskwie“, za które w 1947 roku poeta otrzymuje Nagrodę Stałkowską, zaś w roku 1951 zdobywa szeroki rozgłos zbiorem wierszy „Droga życia“, za które ponownie zostaje odznaczony nagrodą.

Powszechnie znane są też utwory Piatrusia Browki z ostatnich lat — poematy „Czyrwon-haradok (Miasteczko Czerwone), „Rodnyje bierahi“ (Brzezi ojczyście) i „Dobry drug“ (Dobry przyjaciel), jak też również wiersze zamieszczone w tomie „Cwiordymi krokami“. Widnokraj jego poezji rozszerza się z roku na rok. Ślawi on zarówno ciach, pełną poświęcenia pracę inteligencji wiejskiej, jak i badania uczonych, radość promiennego dzieciństwa, jak i piękno ziemi ojczystej. Wielki wpływ na jego twórczość miały podróże zagranicę. Poeta zwiedził Polskę i Czechosłowację, skąd przywiózł wiersze poświęcone życiu tych krajów. Takie utwory jak „Tam dzie chadzi kaliszi Lenin“ (Tam gdzie ongiś chodził Lenin), „Zhadau ja siahonnia Dunaj i Marawu“, „Jaro! Jaro!“, „Siabry“ (Towarzysze) — to nowe sukcesy autora. W tym ostatnim utworze poeta z głębokim wzruszeniem odmalował przyjaźń Białorusina, Piotra Padhoła i Polaka, Józefa Gałkowskiego, którzy ramie przy ramieniu szli do walki z najeźdźcą, a po zwycięstwie stanęli do pracy przy odbudowie swych krajów. Gałkowski pozostał w Warszawie, zaś Padhoł wrócił do rodzinnej wsi, by pomóc krajanom w odbudowie gospodarstwa kołchozowego. Towarzysze broni spotykają się po latach w Moskwie i opowiadają o swych osiągnięciach.

Piatruś Browka jest poetą ludowym w całym tego słowa znaczeniu. Na jego twórczość wywarły potężny wpływ dwa czynniki: poezja białoruska Janki Kupały i Jakuba Kołasa oraz zawsze żywa, walcząca poezja Włodzimierza Małajkowskiego. Lakoniczność, prostota, celność metafory i różnorodność rytmiczna nadają wierszom Browki cechy poezji dojrzałej, świadomej swych zadań. Dlatego Browka jest równie popularnym poetą, co Kupała, Kołas, Krapiwa czy młodsze pokolenie poetyckie, którego przedstawicielami są Maksym Tank i Arkadij Kuleszow. Wiersze jego są bliskie odczuciu białoruskiego ludu, z którego poeta wyszedł.

Kastus Kirejenka

Jakub Kołas

o długich wahaniami odczytał ojcu wiersz. Ojciec, gajowy księcia Radziwiłła, wysłuchał i zamyslił się. Potem zapytał: „Czy to sam napisał? — Sam...“

odparł chłopiec. Ojciec uśmiechnął się i dał synowi srebrnego rubla. Był to pierwszy występ literacki i pierwsze honorarium Konstantego Mickiewicza, obecnie narodowego poety BSRR, znanego pod pseudonimem Jakuba Kołasa.

Ojciec postanowił umożliwić synowi naukę; niebawem chłopiec wstępuje do seminarium nauczycielskiego w Nieświeżu. Z tych lat pochodzi jego pierwsze wiersze. Drukować nie miał jednak gdzie. Gazety i czasopisma w języku białoruskim wówczas się nie ukazywały.

Po skończeniu nauki Mickiewicz jedzie jako nauczyciel na Polesie. Ciąży mu niewymownie ucisk społeczny i narodowy, w jakim żyją Białorusini. Jak pisze w swojej autobiografii: „był zaciętym wrogiem samowładztwa carskiego i prowadził przeciw niemu „robotę“. Nic więc dziwnego, że gubernator Kurlow w 1905 r. zalecił pińskiemu inspektorowi, by niezwłocznie aresztować nauczyciela Mickiewicza za podburzanie chłopów wioski Pinkawica przeciwko ziemiaństwu.

W lipcu 1906 r. Mickiewicz bierze udział w nielegalnym zjeździe nauczycieli, a we wrześniu tegoż roku gazeta „Nasza dola“ zamieszcza wiersz Jakuba Kołasa „Nasz rodzinny kraj“. Gazeta zostaje zamknięta, Kołas traci pracę, następnie zaś odpowiada przed sądem i w roku 1908 dostaje się na trzy lata do twierdzy mińskiej. W więzieniu zbliża się do bolszewików, pracuje nad sobą wytrwale i pisze, przesyłając przez towarzyszy napisane utwory na wolność. Gazeta „Nasza niwa“ publikuje wiersze Kołasa i opowiadania Tarasa Huszczy, jest to drugi pseudonim poety. W 1910 roku do więzienia mińskiego przedostaje się wiadomość, że w Wilnie wydano zbiór wierszy Jakuba Kołasa „Pieśni żalby“ (Pieśni skargi). Maksym Gorki powitał gorąco twórczość Jakuba Kołasa i Janki Kupały. Pelen otuchy poeta zaczyna pisać w więzieniu jedno z najważniejszych swoich dzieł — poemat „Nowa ziemia“.

Po wyjściu na wolność Kołas rozszerza swoje pole działania. Udziela lekcji, by żyć i poświęca się pracy pisarskiej. Rozpoczyna pisanie drugiego poematu „Symon-muzykant“. Jednocześnie wydaje tom opowiadań.

W sierpniu 1912 r. odbyło się niezapomniane spotkanie. Do wsi Mikołajewszczyzna, gdzie przeby-

wał Kołas, przybył Janka Kupała. Od tego czasu obu znakomitych białoruskich poetów związały najsilniejsze więzy przyjaźni.

Talent Kołasa krzepnie i rozwija się. W Petersburgu i w Wilnie jedna po drugiej ukazują się jego książki, zawierające wiersze i prozę.

W czasie pierwszej wojny Kołas opuszcza Białoruś, zmobilizowany do wojska carskiego. Rewolucję październikową wita w gubernii kurskiej wierszem „Do pracy“. Wyraża w nim radość, że całkowicie panem życia stał się wreszcie lud. W 1921 roku poeta wraca do Mińska. I tu rozpoczyna się najbardziej płodny okres jego działalności twórczej. W ciągu pierwszego dziesięciolecia po rewolucji socjalistycznej Jakub Kołas wykonał oba poematy — „Nową ziemię“ i „Symona-muzykanta“. Dzieła te, mające dużą wartość poznawczą i wyjątkowe zalety poetyckie, zyskały wielką poczytność wśród radzieckiego społeczeństwa.

Po tych dziełach następują dwie części trylogii „W poleskiej guszy“ i „Trzėsawisko“. Jakub Kołas opowiada w nich o życiu nauczycielstwa przed rewolucją, wyśmiewając świat pisarzyków gminnych, popów i cynicznych paniczków. Ciężko było żyć w tym świecie młodemu nauczycielowi Łabanowiczowi, który kochał i szanował lud, pragnąc dla niego lepszej przyszłości. Kołas próbuje także swych sił jako dramaturg. Na scenie ukazują się jego sztuki „W puszczech Polesia“ (U Puszczech Pallessia) i „Wojna wojnie“ (Wajna wajnie), a także nowe zbiory wierszy. Czujemy w nich gorący strumień życia republiki wypielniiony konstruktywną pracą, radość twórczości i dumę ze wspaniałych osiągnięć.

Płomiennie wiersze-odezwy do narodu, zagrzewające do walki z wrogiem, liczne artykuły w prasie, udział w wydawnictwach partyzanckich — wszystko to nie ogarnia wielkiej pracy Jakuba Kołasa podczas ostatniej wojny. Całą siłą swej gorącej, szczerej poezji Kołas stara się ulżyć niedoli kraju ojczystego, zbliżyć godzinę jego wyzwolenia.

W okresie powojennym Kołas tworzy poemat „Chata rybaka“. Utwór ten jest uwiekowieniem szeregu takich dzieł epickich jak „Nowa ziemia“ i „Symon-muzykant“. Główne postacie poematu, Danila i Maryna dokładają wszelkich wysiłków, by przeciwstawić się uciskowi obywateli. Danila, który przez intrzygi osadnika Bohuta dostaje się do więzienia, nie traci młodości wiary. Żonie jego pomaga w miarę możliwości biedota wiejska,



Jakub Kołas

Mal. Z. Pawłowski

która kocha i ceni tych bohaterów. Poczucie jedności ludzi pracy przeżywa się przez cały poemat.

Ukazując z wielkim artystycznym życiem ludu, poemat ten jest jakby podsumowaniem marzeń autora. Białoruś stała się rzeczywistością nową ziemią, wielkim państwem.

W roku 1952 Jakub Kołas obchodził swe siedemdziesiąte urodziny. W ostatnich latach pracował nad trzecią opowieścią poleską „Na roztajach“ (Na rozstajach). Pod tym tytułem ukazały się niedawno wszystkie trzy części trylogii, malujące życie i walkę narodu białoruskiego w okresie pierwszej rewolucji rosyjskiej.

Z młodzieńczym zapalem poeta pracuje teraz nad poematem „Na szlachach woli“ („Na szlachach wolności“), ogłasza wiersze i artykuły publicystyczne o języku, o rze-

moście poetyckim i... o nowych metodach siania życia. Pod oknem poety znajduje się półko doświadczone, wielkości klombu. Zasiewa on tam na wiosnę żyto zmieszane z jęczmieniem. Praca ta wzbudziła żywe zainteresowanie badaczy, z którymi poeta prowadzi stałą korespondencję.

Delegat do Rady Najwyższej ZSRR i BSRR, członek prezydium Rady Najwyższej BSRR, członek Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Białorusi, od trzydziestu bez mała lat wiceprezes Akademii Nauk BSRR, przewodniczący Republikańskiego Komitetu Obronców Pokoju, członek prezydium Związku Literatów Radzieckich BSRR — oto zakres działalności społecznej Jakuba Kołasa, syna gajowego spod Nieświeża.

Maksym Łużanin

JANKA KAZEKA

Filip Piestrak

Filip Piestrak spędził w więzieniach sanacyjnej Polski przeszło jedenaście lat. Nie jest przypadkiem, że pod wszystkimi niemal jego wierszami z lat 1927 — 1939 widnieje słowo „Łukiszki”, „więzienie grodzieńskie”. Tam je bowiem tworzył.

Piestrak był przede wszystkim działaczem i wychodząc z więzienia nie miał czasu na zajmowanie się poezją. Owe krótkie miesiące, jakie udawało mu się spędzić na wolności aż do następnego aresztowania, poświęcał całkowicie działalności rewolucyjnej. Na zlecenie partii komunistycznej organizował walkę chłopów białoruskich, będąc jednym z czołowych działaczy „Hramady”. Poeta stał się dlatego właśnie, że był bojownikiem. Ale na wiersze przeznaczał czas dość niezwykle — czas, który spędzał w więzieniu. Tam powstawały jego namiętne, pełne siły wybuchowej wiersze-odezwy. Gdy brakowało papieru i ołówka, poeta pisał gwoździem na ścianie, uczył się na pamięć tych strof, by je przy sposobności wysłać na wolność, do szeregow walczących. Dopiero po wyzwoleniu Zachodniej Białorusi wydał swoją pierwszą książkę „Na warcie”, na którą złożyły się utwory z okresu walki podziemnej i pobytów w więzieniu.

Ze wzruszeniem odcytujemy teraz pierwszy zbiorek poetycki Piestraka. Jak niepokromione, szlachetne serce człowieka-bojownika bije w każdej linijce tych prostych bezpretensjonalnych wierszy! Nie ma w nich nuty rozpacz, skargi na samotność. Brzmi w nich natomiast wezwanie do walki, niezachwiana pewność i wiara w zwycięstwo słusznej sprawy.

W latach Wojny Narodowej Piestrak brał czynny udział w ruchu partyzanckim, słał szczerymi słowami bohaterskie czyny walczących.

W ostatnich latach Piestrak dał się poznać jako doskonały prozaik. Po niewielkiej opowieści „Paczarak” (Początek), poświęconej walce partyzantów z najęźdźcami, i po cyklu opowiadań o powojennym życiu zachodnio-białoruskiej wsi, napisał dwutomową powieść pt. „Sustrenemisa na barykadach” (Spotkamy się na barykadach). W ubiegłym roku powieść ukazała się w wydaniu książkowym, w tym roku opublikowano przekład na język rosyjski.

Powieść zawiera wiele materiału autobiograficznego. Powrót Andreja Kasciwicza do wsi rodzinnej, jego praca w tartaku, udział w podziemnej robocie rewolucyjnej, aresztowania — tak też było w życiu autora. Ale powieść nie jest autobiografią, lecz przynosi szeroki obraz walki ludu białoruskiego o wyzwolenie narodowe i społeczne. Pisarz opowiada o tym, co sam widział i przeżył, toteż powieść jego urzeka szczerością i serdecznością.

W osobach rewolucjonisty-konspiratora Andreja Kasciwicza, Iwana Paddubnego, małodolnego chłopca Dżiamiana Horahlada, wdowy Tacyany Cichanczuk, Zachara Zubca, Anupreja Czarniaka, Nadzi Charaszewicz i innych osób, skupiły się najpiękniejsze, najsłabsze cechy charakteru narodowego Białorusinów. Postaci te odmalowane są naderwzajemnie plastycznie, ukazane w działaniu, w ostrych starciach z obozem wroga.

Piestrak w sposób prawdziwy i głęboki opowiadał o braterskich więzach łączących naród polski i białoruski. Powieść przepojona jest ideą przyjaźni narodów, internacjonalizmu proletariackiego; ukazuje ona, jak ludzie pracy — Białorusini, Ukraińcy, Polacy — ramię przy ramieniu walczyli o wspólną sprawę.

Należy także wyróżnić świetnie nakreślone sylwetki polskich robotników, Wacława Sankowskiego i Stanisława Barwiny. Liczne epizody powieści charakteryzują ich jako robotników o wyraźnej świadomości klasowej, prawdziwych internacjonalistów.

„Spotkamy się na barykadach” to dzieło bohatersko-romantyczne. Pisarz w sposób porywający opowiada o odważnych, szlachetnych ludziach, którzy poświęcili swe życie, by służyć ludowi.

Filip Piestrak ma teraz 52 lata. Przez całe swoje życie przebywał wśród ludu, dzielił z nim niedolę i radość. Wiele widział na swej drodze życiowej i może jeszcze wiele ludziom opowiedzieć.

Janka Kazeka

FILIP PIESTRAK

Spotkamy się na barykadach

Cicha ciepła noc zawisła nad lasem, nad budynkiem tartaku. Dym z wysokiego czarnego komina płynnie równą smugą i ginie gdzieś pod wygwieżdżonym niebem. Na placu majaczą ciemne zarysy sagów różnej wysokości. W miękkim mroku tam i sam snują się ludzie. Słychać łoskot przetaczanych kłoców. Jeżeli patrzeć na tartak z oddalenia, skąd przez szeroką bramę biją na podwórze, w ciemność, snopy światła elektrycznego, zdaje się, że to nie tartak, lecz barjeński pałac, w którym odbywa się jakaś uroczystość.

Jest druga w nocy. Sankowski z Andrejem obcinają deski na zwykłym swoim miejscu przy okragłej pile elektrycznej. Jedna deska po drugiej kładzie się na stole i płynie pod iskrzące zęby pily, która wybiega na ich spotkanie. Sankowski na przedzie, Andrej zaś z tyłu wciąż idą, idą naprzód, płyną wraz z deską, przytaczając ją rękami. Na prawo od nich inny robotnik nie zdejmując ręki z dźwigni partry w zamysle na ruchliwe pily traku, przez które przechodzi kłoc. Z hali maszyn wychodzi mechanik Slobodka — niewielki, pulchny, w wyszczelonej czapce z długim daszkiem. Trzymając w opuszczonej ręce klucz francuski zastyga przed trakiem obserwując ruch pily. Przy okragłym stoliku wśród stosu obrzynków stoi Pietia Cichonczuk i zmagą się z wielką jak kółko wozu chłopskiego okragłą pilą — rznie sztachety. Pietia uciekł od pana Przebojskiego za przykładem strajkujących, porzucił wtedy brata. Osypany jest urocinami od stóp do głów, jak gdyby się w nich wykapał. Sztachety przypominające wąskie paski papieru wypływają nieustannie spod pily i kładą się z bokku. Wydaje się, że kółko pily wciąż atakuje Pietię, ten jednak umyka, nie daje się.

Spód podłogi przez otwarte na oścież szerokie drzwi tartaku dziewczęta na noszach-skrzyniach wynoszą w mrok nocny trociny, inne dziewczynki zbierają obrzynki, trząsaki przy Pietli, Sankowskim i Andreju. Przez miarowy, monotony łoskot tartaku przebiega się niekiedy pieśń płynąca spod podłogi. Zlewa się z głosami dziewcząt siedzących na podwórzu przy ognisku. Czeka ją one na swoją zmianę.

Mogila uboga
Już trawą porośła...

zaczynają jedne i podchwytywać inne. Światło żarówek elektrycznych, przyćmione pyłem drzewnym, tchnie spokojem. Chłód nocny wieje z szerokiej rozwarłej bramy, skąd z cichym stukotem wtaczają się kłocce i kładą się na wagonetkę, aby następnie podjechać do traku. Przez bramę widać nie opodal ciemną ścianę lasu, ciągnącą się ku gwiazdom.

W duszy Andreja również panuje spokój. Podczas nocnej pracy zapomina się o wszystkich troskach i niepokojach. Przepływają one przez duszę niby łagodny strumień. Dni mijają na obserwacjach, na uważnym przysłuchiwaniu się wszystkiemu, co się dzieje wokoło, na rozmowach i krótkim śnie. Noce zaś pochłania praca.

Idąc z deską za Sankowskim Andrej właśnie tu chyba, przy pracy poczuł naprawdę, jak kocha wszystkich tych otaczających go ludzi. Martwi go tylko, że wielu z nich wierzy niedorzecznym pogłoskom, plotkom, otumania się wódką i częstokroć chyli kark przed właścicielem tartaku, żeby wyżebrać datek. I boli go, gdy widzi, jak to ten, to ów spośród uczciwych robotników dla kawałka chleba zamienia się w niewolnika, odsuwa się od kolegów... Ale przy pracy wszyscy są ryercsy, pomagają sobie wzajemnie. W chwilach tych zapominają, że pod koniec tygodnia dostaną nędzne grosze, które niejedną przepije tego samego wieczora. Sankowski powtarza coraz częściej: „Trzeba założyć związek zawodowy, koniecznie, bo administracja rozbię do reszty jedność robotników, zdemoralizuje ich”. Tak, Sankowski ma słusność: na placu przez cały dzień rozlegają się gniewne okrzyki pana Czerepickiego. Czerepicki pracuje już jako nadzorca przy układaniu desek. Za uchem tkwi mu niezmiennie — czy potrzeba czy nie — ołówek. Pan Czerepicki jest ogromnie zajęty. Nie odstępuje robotników ani na chwilę, stoi nad nimi jak kat nad dobrą duszą. A wciąż coś notuje, wciąż coś wpisuje do notesu marszcząc przy tym czoło.

— Te deski kładzie tutaj... tylko pamiętajcie, żebyście dobrze układali... tylko uważajcie... bo jak nie, to będziecie pod kośćmiem śpiewali modlitwy wielkopostne — powtarza pan Czerepicki.

Oto jedna deska, umieszczona na brzegu sagu, zsunęła się na ziemię. Czerepicki, niby rozszuszony byk, staje dęba, tupie nogami. Twarz mu paskowicie, oczy wylazły na wierzch.

— Jak kładziesz, ciubaryku, psia-krew! — trzaska śliną rozwiścieczony Czerepicki. Wyciągając czerwona zylasta szyję długo pożera robotnika złym wzrokiem.

— Panie, ja przecie... — chce się wytłumaczyć robotnik.

— Milcz, ciubaryku, bo złapię za kark i już cię tu nie ma!

A kiedy dojrzy z daleka dyrektora, zaczyna krzyczyć jeszcze głośniej i skwapliwie wpisuje coś do notesu. Słowo „ciubaryk” rozlega się echem wśród sagów. Czerepicki wita uniesienie zwierzchnika, uwiąja się wokół niego jak nakręcony bączek. Usiłuje mu coś wyjaśnić, uderzając ołówkiem o notes:

— Panie dyrektorze! Obliczyłem ośobiście, matematycznie.

Ogromnie mu się podoba to słowo; „matematycznie”, które ma świadczyć o jego erudycji i wysokim poziomie kulturalnym.

Po odejściu dyrektora Czerepicki krzyczy od razu do robotników:

— Pracujcie! Pracujcie! — po czym odchodzi z zadowoloną miną.

Jest pewien, że udało mu się przekonać dyrektora o tym, iż on, pan Czerepicki, może być śmiało zaliczony do herbowej szlachty. Czym są w porównaniu z nim ci „ciubarycy” w siermiągach? Toć to bydlę, dzikusy. Wprawdzie wśród Polaków też trafiają się chamy w rodzaju Sankowskiego, którzy się nawet z nimi przyjaźnią. To zdrada ojczyzny. I nożdrza Czerepickiego rozdymają się. „No, jeszcze z tym Sankowskim pogadamy...”

Sankowski zaś nieraz mówił Andrejowi: „Wysługuje się ten osioł! Widzisz, Andreju, to pacholek kapitalistów. Znajdzie daleko w swoim lokajskim zawodzie...”

Niedawno Czerepicki przyszedł podpity do baraku, do polskich robotników i zaczął się przechwalać, że pil z Kaczurą, komendantem posterunku na tartaku Przebojskiego, i że dyrektor mianuje go wkrótce głównym nadzorcą. Robotnicy potrzaskali ironicznie głowami:

— Ale bohater z Czerepickiego, prawdziwy bohater! Szybko pan robi karierę.

— Tak to jest, jak się umie — odparł zadowolony z siebie Czerepicki i zanucił jakąś sprośną piosenkę.

Sankowski siedział przy oknie, odwrócony do wszystkich plecami, palił papierosa i wyglądał na plac. Czerepicki zaprosił robotników na wódkę. Nikt nie odpowiedział.

— Chodźmy na kielicha — Czerepicki pociągnął za nogę leżącego na piyczy Stanisława Barwinę.

Barwina usiadł i swoim ochrypłym lekko głosem nie powiedział, lecz bąknął:

— Idź i poszukaj sobie do towarzystwa takich psów, jak sam jesteś.

— Co-o? — Czerepicki wybałuszzył oczy.

— A tak — potwierdził Barwina. — Nie spodziewałem się po tobie czegoś podobnego. Walczyłeś przecież w legionach — zawołał Czerepicki.

— Nie twój psi interes... Owszem walczyłem, i byłem ranny, mam nawet odznaczenia. Ale walczyłem nie po to, żeby się plodziły takie parazyty jak ty i nie po to, żeby twoi chlebobdawcy nabiali sobie kabę. Coś dałem się oszukać, i nie ja jeden. Ale na drugi raz to się nie uda.

Czerepicki purpurowy z wście-

kłości skoczył do Barwiny, ale ten stał już gotów do odparcia ataku. Kilku robotników zerwało się z przyć i wraz z Sankowskim stanęło między Barwiną a Czerepickim.

— Wynos się, Czerepicki — wołali — bo będzie z tobą źle!

— Co? Co? — powtórzył Czerepicki i pobiegł do drzwi. Z progu obejrzał się jeszcze i pogroził Barwinie palcem.

— Jeszcze z tobą pogadamy — i trzasnął drzwiami.

Wszystkich wprawił w zdumienie wybuch Barwiny. Ten łagodny, małodolny człowiek, pracowity jak wół, rzadko kiedy podnosił w ogóle głos. Wysoki, masywny, z bladą twarzą, zawsze uśmiechniętymi oczami i strzechą jasnych włosów, wy-

W przerwach po wyładunku stoł oparty o pal i pyka fajkę. Kiedy spotyka spojrzeń Sankowskiego i Andreja, kiwa im głową i uśmiecha się spod nasuniętego na oczy daszka. Andrej czuje, jak od tego uśmiechu robi mu się ciepło w sercu.

Wreszcie pily traka zwalniają biegu i zatrzymują się po kilku wstrząsach. Dwunasta w nocy. Przystawianie pily. Na chwilę zalega cisza, potem bucha zgodny gwar.

Wszyscy zbierają się na papierosa przy okragłej pile. Z hali maszyn przychodzą Zubiec i Podolaka, którzy za poradą Andreja przeszli do nocnej zmiany. Przychodzą też, Sawwa, Marcin i Barwina ze swoim palem.

MAKSYM TANK

ŻEBY WIEDZIAŁY...

Samotna sosna rośnie na kurhanie,
Żeby wiedziały;
Korzeniem draży podziemne otchłanie,
Żeby wiedziały;
Wierzchołkiem sięga tam, gdzie zorzy
luna,
Żeby wiedziały;
Dzwoni na wietrze, jak napięta struna,
Żeby wiedziały
Matki.
Gdzie śpią ich synowie — sokoły;
Wichry,
Gdzie budzić uśpione żywioły;
Zorze,
Gdzie blasków tęcza wschodzić winny;
Ptaki na wyraju —
Gdzie ich dom rodzinny.

2.IX.1945 r.

Przełożył Leopold Lewin

dawał się niekiedy wprost naiwny. Jedyne fajka, tkwiąca stale w zębach, nadawała mu wygląd stateczny. Nie rozstawał się z nią nigdy, nawet podkłady jadował z fajką w zębach.

— Zuch z ciebie, Stastu — rzekł Sankowski, kiedy Czerepicki znaki za drzwiami. — Ale żeby ten drań nie wymyślił czegoś złego.

— Wacku — powiedział jakby przepraszając Barwinę — nie wytrzymałem. Skoro tak, to już... Dość tego!

Sankowski spojrział na Barwinę z uśmiechem, niby ojciec na własne dziecko. Kochał Barwinę za jego uczciwość, za to, że Barwina był dobrym kolegą, że nie lękał się najcięższej pracy.

I oto teraz, w nocy, gdy Andrej i Sankowski płyną z deską ku rozdzwonionej pile, w bramie z mroku od czasu do czasu wylania się postać Barwiny z palem w ręku.

Przystawianie pily zakończono. Na dany sygnał pily w ramach znów rozpoczynają swój taniec. Kraży okragła pila, postukując kłocce. Każdy zajmuje swoje miejsce. Tak będzie aż do zorzy porannej, do chwili gdy jej białawe światło nie legnie na znużonych twarzach robotników.

Andrej i Sankowski znów płyną bez końca wraz z deskami na spotkanie okragłej pily.

Niech tam Zachar Zubiec łamie sobie głowę nad zagadką, czemu Andrej poradził jemu i Podolace, żeby przeszli do nocnej zmiany.

— Tak trzeba—powiedział mu Andrej. I jakby akompaniując jego myślom o dnu jutrzejszym trak wystukuje rytmicznie: „Tak trzeba... tak trzeba... tak trzeba...”

— ...Andrej spojrział serdecznie na Sankowskiego i zaczął budzić go delikatnie:

ARKADIJ KULESZOW

M A T K A

I uśmiechnął się znowu
Niedobrym uśmiechem.

— Nie wiem, co z dziećmi zrobić.
Mógłbym oddać je matce,
Ale okup...
— Mam w torbie...
— Okup...
— Proszę, już placę.
Te pieniądze mi wszędzie
Chętnie dawał nasz lud...
Oto są.
— No, niech będzie.
Gut.

Trwa czekanie bez końca,
Matka liczy minuty...
Żołnierz dzieci milczące
Wypuszcza za druty.
Dzieci będą bogate —
Matka ich nie poznała.

Jakże winić ich za to,
Że je inna chowała?
Cudze dzieci za ręce
Wzięła, precz je powiodła.
Zaprzec ich się, za kraty
Znow ich rzucić nie mogła.

Pośród rżysk biegnie droga,
Przy niej wście stoją rzadkie,

Skrzywdzić dzieci nie mogła,
Zasłapiła im matkę.
Odnalazła w więzieniu,
Wydobyła z drutów —
Teraz zaś, uwolnieni,
Idą przy niej. Są tutaj.
Niezym dla niej jest jama,
Niezym ściana jest stroma.
Oto jaka ich mama,
A ta mama — to ona.

Chociaż się zestarzała,
Choc ją poznać niełatwo,
Która inna tak śmiało
Ratowałaby działwę?

— Mamo, mamo! —
Wasyła
Ciche słyszy wołanie —

I nad chłopcem się schyla:
— Co syneczku,
Kochanie?

Matka oczy ociera,
Lzy polyka, wzruszona.
Skoro płacze — to teraz
Wszystko jasne:
To ona.

— Tyś upadła tam w lesie,
Tyś dogoniła nas młoda.
Czemu nie przysłaś wcześniej,
Mamo?

— Bom was szukała.

— Ja wiedziałem: przyjdę muszisz,
Ja wierzyłem w to, mamo.
Ja łaskniłem, mamusiu.
— Ja, syneczku,
Tak samo...

Zorzą zmierzach się zaświecił,
Nad brzoziami rozpogodził.
I ukradkiem kobiecie
Przyglądała się siostra.
— Nie, to matka nie nasza —
Pomyślała tak sobie.
Brat inaczej uważa,
Nie mu zatem nie powie.
Niech on wierzy, że mama,
Przyszła po nich, jest żywa.
I jak brat
Teraz sama
Obca — mamą nazywa.
I tak droga ich wiedzie
Kobieta.

Pod wzgórzem
Ich samochód dopędził.
— Matko, stój! —
Ten, w mundurze,
Jakiś Niemiec — to przecie...
Tak, to Gustaw.
Wysiadła.
Przeróżnej kobiecie:
— Chodź tu do mnie! —
Powiada
Pod koroną brzoziową
Stoją teraz oboje
Gustaw pyta ją znowu:
— Twoje dzieci?

— Wstawaj! Czekaj nas dzisiaj
moc pracy.

...Robotnicy świątecznymi grupkami siedzieli przed barakami na kłocach, palili papierosy, dowcipkowali. Jedni mocowali się, inni próbowali swych sił podnosząc po kolei odzimek grubej sosny. Tam, gdzie zazwyczaj płonęło ognisko, przy którym gotowano strawę, teraz na ławeczkach siedzieli chłopcy i dziewczęta, śpiewając od czasu do czasu piosenki. Kilku robotników już sobie podchmieleło. W ich grupie było najgłośniejsze. Ożywie też panowało w grupie robotników polskich. O coś się z zapalem spierało, potem zaczęli śpiewać. Andrej nieraz słyszał tę pieśń. Polacy śpiewali ją wieczorami w baraku na przyczach, lałając swą odzież. Pieśń podobala się Andrejowi. Brzmiała w niej serdeczna liryczna skarga na niedolę człowieka pracy.

Kiedy się ta pieśń kończyła, każdego ogarniał smutek, lecz czuł zarazem jakąś ulgę. Na chwilę wszyscy milki. A w tej ciszy z czyichś ust wyrwało się słowo, jak gdyby wypowiadane do siebie:

— Ha... psia-krew...

Każdemu zapewne przy tych dźwiękach stawały przed oczami rodzinne okolice, dobrze znane drogi wysadzone wierzbami i topolami, piaszczyste zagonki, ściśnięte latyfundiarni magnaterii, wartka, modra Wisła, nędzne tulące życie i zczyty Tatry spowite niebieskawą mgiełką. O nich to właśnie jest mowa w tej góralskiej pieśni:

Gorali, czy ci nie żal,
Odechodzie z stron ojczystych.
Świerkowych lasów i hal
I tych potoków srebrzystych?

Głosy wznośli się uroczyste co raz wyżej, powtarzając:

Gorali, czy ci nie żal?
Gorali, wracaj do hal...

Sankowski przyłączył się od razu do pieśni i może dlatego zabrzmiła ona mocniej:

Gorali na chały spociera
I lzy rękawem ociera.
— Ha trudno, panie, tak trzeba.
Dla chleba, panie, dla chleba...

— Tak, dla chleba... — Sankowski westchnął i opuścił głowę.

— Jakże długo mamy to znosić, Sankowski? — zwrócił się do niego jeden z robotników. — Ani jedna wypłata nie bywa bez oszukaństwa. Krwiopiccy, wciąż starają się coś urwać... Widzieliście ich, jak szli na spacerek?

— Widzieliśmy — odparł Sankowski. — Zapraszali nas na herbatę, ale podziękowaliśmy przez delikatność... Co to chciałem powiedzieć, towarzysze... — zamyślił się Sankowski, jak gdyby chcąc sobie coś przypomnieć. — Aha... Za dwa dni święty Antoni. Tu niedaleko jest kościół świętego Antoniego. Będzie odpust. Czy nie warto by nam też się wybrać? Pójdziemy, nazwywamy kwiatów. Przecież i tak święto.

— Pójdziemy, naturalnie! — zawołał wszyscy jednogłośnie.

Andrej tymczasem chodził po barakach i również zapraszał robotników „na odpust”.

Filip Piestrak

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

Fragment powieści. Rozdział III. Cz. I.

„Don Juan” na wygnaniu

ADAM TARN

6

Bohdan Korzeniewski, wybitny reżyser bez stałego miejsca pracy, wystawił w Teatrze Nowym w Łodzi „Don Juana” Moliera. Inscenizował go tak jak przed pięć laty w Warszawie, kiedy spotkał go zarzut, że w jego interpretacji komedia ta sugeruje, jakoby Molier szczył „bezkarnością za różne lajdactwa, relatywizm moralny” czyli rzeczywiście rzeczywiście niemoralność; z zarzutem, że w ogóle niepotrzebnie się trudził, bo „jaki jest cel, jaki może być cel grania molierowskiego „Don Juana” na scenie polskiej w 1950 r.” — jak wołał Jaszcz. Wystawił go tak samo, wbrew krytyce, która spowodowała, że „Don Juana” zdjęto wtedy z afisza. I — powiedziałem to od razu — odniósł duży sukces, choć ambitny młody zespół Teatru Nowego nie całkowicie podolał zadaniu.

Jak to? Reżyser odniósł sukces, chociaż aktorzy nie podolali zadaniu? Na czym może polegać sukces reżysera, jeśli nie na wydobyciu zawartych w tekście i w samym aktorze możliwości interpretacyjnych?

Otóż w tym wypadku powodzenie reżysera trzeba mierzyć czytelnością utworu. W inscenizacjach dotychczasowych, nie wyłączając tak słynnych jak Jouveta i Vilara, komedia ta naskradła pewne wątpliwości. Bo skądże Moliera jakieś nadprzyrodzone zjawiska, widma, duchy, ogień piekielny pochłaniający grzesznika? I co to ma znaczyć, że stróżem moralności jest Sganarel, blazen i tchórz? Czy pisząc tę komedię, której bohater się nie — a więc komedię, nie będącą komedią — Molier istotnie stworzył „monstrum, tragikomedie fantastykę i blażeńską, niewiarygodny zlepek wszystkich rodzajów”, jak mu to zarzucał w latach osiemdziesiątych głośny krytyk mieszczański Lemaître?

Korzeniewski bardzo jasno odpowiada na te pytania, nie tylko w swym wnikliwym essay'u pt. „Sekrety Don Juana”, przedrukowanym w programie, ale — co ważniejsze, oczywiście — przez samą inscenizację. Pokazuje bowiem, naocznie nas przekonując, jak ostrą satyrę na obłudników jest „Don Juan” — i jak odważna, skoro nie idzie tu o małego oszustę jak w „Świętoszku”, lecz o wielkiego pana. Tartufea łatwo było unieszkodliwić, wystarczyć go zdemaskować. Don Juan, kiedy nakłada maskę, staje się netykalny. Tartufea jest obłudnikiem z zawodu i z powołania. Don Juan staje się obłudnikiem wbrew swojej naturze, jest, przeciwnie, wyzywającą beczelny i cyniczny, otwarcie kpi sobie z moralności i wiary. Tylko, że za późno (w tym wypadku) wdział maskę. I zamiast autorski, który tyle sprawiał kłopotów krytyce mieszczańskiej na przełomie wieku — bo nie mogła kontynuować antymolierowskiej krucjaty, nie mogła zarzucać Molierowi, że głosi ateizm, więc rozdzielała szaty nad niewypałem twórczym, jakim rzekomo jest „Don Juan” — zamiast autorski staje się najzupełniej przejrzysty. To chłosta sięgająca możnych tego świata, dla których obłuda jest refugium — nie środkiem do celu, jak dla Tartufea, ale pancerzem, którego na tym padole leż nie przebijie miecz sprawiedliwości. Na tym padole leż... A tam, w niebie? Cóż, w niebie — odpowiada z uśmiechem Molier — kto wie, może i dosięgnie ich karząca ręka... jeśli wierzyć w niebo. Ale czy to powód, żeby tu, na ziemi, mogli się naigrawać z nas wszystkich?

Oto cały sens komedii. I Korzeniewski świetnie, z wyrafinowanym dowcipem, najklarowniej w świecie przekazuje go widzowi. Kiedy bowiem, w V akcie, posag komandora rzuca słowa potępienia: „Don Juanie, zatwardziałość w grzechu prowadzi do strasznej śmierci. a odrzucenie łaski niebawem otwiera drogę piorunom”, nad głową grzesznika ukazuje się kartonik z wymalowanym zygakiem, a Don Juan odwraca się twarzą do widowni, śmiejąc się potrzasa rękami i mówi cieniem głosem: „O, nieba! Co się ze mną dzieje? Fala mnie niewdzielnego płomienia, całe moje ciało staje się ognistym stosem. Ach!” I powoli, jak gdyby wiatr zjeżdżał do Hadesu, znika w zapadnię. Na widowni śmiech, a kiedy spod sceny wydobywa się dym i w powietrzu zawisa obłoczek, śmiech wzmacnia się przy akompaniamentie oklasków.

Muszę powiedzieć, że wrażenie pusie trochę lament Sganarela zaczynający się od słów: „Ach, moja zapłata!” — bo reżyser zbyt mocno daje tu gierki, każe aktorowi pukać w podłogę, przykładać do nieba ucho itp., zamiast tego, by Sganarel oddał się swojej roznaczy oż jakichkolwiek efektów komicznych. Komizm, i to potężny, jest w wybuchu rozpaczliwym samym tekście o utraconych zasługach. Ale, z tym zastrzeżeniem, jest to znakomita scena, czysta, prosta i wymowna, wieńcząca całość w sposób doskonały, wydobywająca w skrócie pełny podtekst utworu i komunikująca go tak, jak mógłby to uczynić autor, gdyby wzorem bajkopisów dał na zakończenie Moral.

Jak wspominałem, strona aktorska pozostawała tu w tyle. Niewątpliwie, po części wynika to z faktu, że reżyser nie mający własnego

warsztatu i nie dobierający, jak to być powinno, repertuaru do zespołu, tylko zadowolający się nieraz obsadą nieadekwatną, nie miał tu wiele do powiedzenia. Niemniej, Korzeniewski popełnił moim zdaniem błąd, obsadzając w roli tytułowej Gustawa Lutkiewicza, i to błąd, nie przypadkowy ale zasadniczy, wynikający z jego widzenia postaci. Czy pamiętacie Don Juana w wykonaniu Vilara? A Vilar, który reżyserował, mógł być powierzyć tę rolę nie byle komu, bo Gerardo wi Philippe, podczas gdy sam mógłby grać — jak Molier! — Sganarela. Lecz nie widział Don Juana jako amanta — i słuszenie. Młodość nawet nie jest tu atrybutem koniecznym. O wiele lepsza jest dojrzałość, jeśli dzięki niej zwiększy się, uwielokrotni, siła i skala wyrazu aktorskiego; jeśli Don Juan, bodaj 40-letni, byle zwiny i ruchliwy, będzie na przemian okrutny i dobrodusze ironiczny, fałszywy i szczerzy, lekkomyślny i poważny, łodowaty i czarujący — cały swój dowcip i inteligencję przekazując widzowi. Wybór Korzeniewskiego padł na Lutkiewicza, który ma świetną aparycję, doskonale się prezentuje, fechtuje, porusza, choć gest jego był fircykowaty raczej niż wielkopański. Ale, mój Boże, molierowski Don Juan nie jest i nie powinien być chłopcem malowanym, nie uwodzi wdziękiem ani urodą, żeni się z każdą, żeni się „co miesiąc”, nie musi kokietować buzią z obrazką. Po co więc stwarzać wizerunek panicy, który odpowiada chyba wyobraźni 16-letniej panienki, Don Juana dla pensjonarek?

Bądź co bądź, Lutkiewiczowi za brak środków wyrazu. Ani uśmiechem, ani grą oczu, ani intonacją nie komunikował nam Don Juana. Stała się tylko — podobnie jak jego partner, Janusz Kłosiński (który w roli Sganarela gra na przemian z Woszczerowiczem) — o maksymalną czytelność słowa, co było troską Korzeniewskiego. I muszę powiedzieć, że to się udało. Tempó wprawdzie było zbyt wolne i puls nie dość napięty, ale tekst dochodził i widownia słuchała.

Kłosiński jednak, który jako Nacząrdyrups w „Łaźni” dał znakomitą kreację i aż porywał dowcipem, był Sganarelem bez wery, bez sprytu, ociężałym, płacziwym nieomal. Nawet jego tchórzostwo nie było lokajskie, tylko żalonne i jakby fizyczne, jakby płynące z niedoświadczenia i niezaradności życiowej. A przecież scena z panem Niedziela, którego Sganarel wyrzuca brutalnie, wyrzuca go za drzwi jeśli nie ze schodów, powinna świadczyć, że ten blazen i tchórz potrafi sobie radzić z ludźmi, byle niskiej kondycji. I znowu, jeśli jego monolog byłby czytelny, działał się tak w większości wypadków dzięki wypunktowaniu pauz i kompozycji gestu, czyli reżyserii, a nie ekspresji popartej inwencją aktorską. Mało w nich było, pod względem wyrazu, owej bzdury w stanie czystym, która stanowi istną filozofię mieszczańską i z której Molier kpi sobie tutaj z nieporównaną dezynwolturą, czyniąc ze Sganarela obrońcę moralności. Obawiam się, że zaważyła tu dublerka z Woszczerowiczem, że Woszczerowicz, którego Kłosiński bezwiednie naśladował, zaciążył nad nim, sparałizował go całkowicie.

Najwięcej spodobała mi się Hanna Bedryńska, która jako Elwira wniosła dużo świeżości i była prosta, przekonująca, przyjemna i ładna. Świetny był też Bogdan Baer w trudnej roli Pietrka, odegranej nie tylko z zacięciem, ale z dużą inteligencją. Nie mogłem jednak zrozumieć, czemu Korzeniewski każe mu ciągle wzuwać i zzuwać obuwie. I, wracając do reżyserii (bo o tym głównie piszę): scena Don Juana z Karolką i Marcysią (obie prawdziwe, jedne i bardzo apetyczne w wykonaniu Bohdany Majdy i Danuty Mniewskiej), pomysłana w ruchu, cała w zawijasach — gdy np. Vilar wykonał ją statycznie — była znowu popisem reżyserkiej inwencji, bo w braku komunikatywności ze strony Lutkiewicza nie by z tej pociesznej sceny nie wyszło.

Nie na wszystko jednak mogę się zgodzić w tym względzie. Walka Don Juana ze zbirem nożowników, wprowadzona przez reżysera do sceny w lesie (akt III) — nie przeczę, że wykonana z istic chińską precyzją i doskonałą sprawnością fizyczną — wydała mi się nie tylko zbędna, ale wręcz niemożliwa, jeśli idzie o ducha epoki. Nie sądzę bowiem, by Don Alonzo, tak drażliwy w sprawach honoru, mógł sam będąc na placu, kazać nożownikowi, żeby napadł na Don Juana; hidalgo nigdy by tak nie postąpił. Albo kiedy Sganarel siada do kolacji i służba mu dokucza sprzątając mu przed nosa bądź talerz, bądź kubek, za milczącym przyzwoleniem pana i ku jego uciechu, Korzeniewski do tego stopnia przeciąga te gierki, że zamiast króciutkiej rozrywki — jak ją pomyślał Molier — scena ta urasta do nieprawdopodobnych rozmiarów i traci całą niemal siłę komiczną. Potknęła się jednak naprawdę mało znacząco wobec wielu sytuacji, które aktorom pomogły.

Ważną rzeczą, o której krytyka milczy albo wspomina mimochodem, jest przekład. W teatrze niestety trzeba ciągle poprawiać bar-

dzo wiele niedobrych przekładów. Tylko nieliczni wtajemniczeni wiedzą, jaki to wkład pracy kierownika literackiego lub reżysera. Czy jednak w wypadku, kiedy mamy do czynienia z przekładem znakomitego tłumacza, wolno gruntownie zmieniać tekst? Sądzę, że jeśli się przytrafiło Boyowi, że przekład nie wypadł doskonale, należy raczej zeń zrezygnować niż Boya poprawiać. Tak zrobił Korzeniewski, tłumacząc dzieło na nowo. Ale porównajmy oba przekłady.

Biorę na chybił trafił początek monologu znanego jako „pochwala obłudy”, który Don Juan wygłasza wobec Sganarela (akt V).

Tekst oryginału:

„Il ny a plus de honte maintenant à cela; l'hypocrisie est un vice à la mode, et tous les vices à la mode passent pour vertus. Le personnage d'homme de bien est le meilleur de tous les personnages qu'on puisse jouer. Aujourd'hui, la profession d'hypocrite a de merveilleux avantages. C'est un art de qui l'imposture est toujours respectée, et, quoiqu'on la découvre, on n'ose rien dire contre elle. Tous les autres vices des hommes sont exposés à la censure, et chacun a la liberté de les attaquer hautement; mais l'hypocrisie est un vice privilégié qui, de sa main, ferme la bouche à tout le monde, et jouit en repos d'une impunité souveraine”.

Boy:

„Nie ma w tym żadnego wstydu; obłuda jest dziś bardzo w modzie, każde zaś modne szelmostwo może uchodzić za cnotę. Nie ma lepszego zawodu niż rola świętoszka. Taka mistyfikacja, uprawiana zawodowo, daje dziś nadzwyczajne korzyści. To sztuka, w której komedianctwo zawsze może liczyć na względy, bo chociaż kto je przejrzy, nie ośmieli się wstąpić przeciw niemu. Wszystkie inne przywary wystawione są na sąd bliźnich i każdy ma prawo głośno je potępiać; ale obłuda jest szelmostwem uprzywilejowanym, które własną ręką zamyka usta całemu światu i czyni się w spokoju wszechpotężną bezkarnością”.

Korzeniewski:

„Dzisiaj nie przynosi to już wstydu. Obłuda jest obecnie występkom powszechnym, a wszystkie występki powszechne uchodzą za cnoty. Postać człowieka światobliwego najłatwiej teraz grać ze wszystkich postaci. Dzisiaj rzemiosło świętoszka daje największe korzyści. Jest to sztuka, w której oszustwo zawsze może liczyć na szacunek. Choćby je kto i odkrył, nie ośmieli się pi-

snąć słówka. Wszystkie inne występki ludzkie podlegają sądowi opinii, każdemu wolno je głośno potępić. Ale obłuda jest występkiem uprzywilejowanym, który własną ręką zatyka gębę całemu światu i czyni się w spokoju absolutną bezkarnością”.

Jak widzimy, Boy tutaj tłumaczy raczej dowolnie. Zdanie: „Postać człowieka światobliwego najłatwiej teraz grać ze wszystkich postaci” zmienia na: „Nie ma lepszego zawodu niż rola świętoszka”. Następnie zaś, które u Korzeniewskiego, zgodnie z oryginałem, brzmi: „Dzisiaj rzemiosło świętoszka daje największe korzyści”, Boy tłumaczy na: „Taka mistyfikacja, uprawiana zawodowo, daje dziś nadzwyczajne korzyści”. Na dobitkę, Boy stępia ostrze krytyki skierowanej przeciw obłudzie, tłumacząc „vice” bądź jako „przywara”, bądź jako „szelmostwo”, podczas gdy Korzeniewski konsekwentnie i świadomie mówi o „występku”. Pomijam użycie przez Boya przymiotnika „wszechpotężny” w odniesieniu do bezkarności, co wydaje się niezręcznością.

Weźmy inny przykład, znów na chybił trafił. Wertuję oryginał. Oto zakończenie dialogu między Elwirą a Don Juanem (akt I). Mówi Elwira:

Tekst oryginału:

„Ah! scélérat, c'est maintenant que je te connais tout entier; et, pour mon malheur, je te connais lorsqu'il n'en est plus temps, et qu'une telle connaissance ne peut plus me servir qu'à me désespérer; mais sache que ton crime ne demeurera pas impuni, et que le même ciel dont tu te joues me saura venger de ta perfidie”.

Boy:

„Ha, zbrodniarzu, teraz dopiero poznaję cię do gruntu, a, na me nieszczęście, poznaję cię wówczas kiedy już za późno i kiedy ta świadomość może mnie jedynie wydać na pastwę rozpacz. Ale wiedz, że zbrodnia nie ujdzie ci bezkarnie; to niebo, z którym tak igrasz, potrafi pomścić się za twą przewrotność”.

Korzeniewski:

„Ach, lajdaku! Dopiero teraz poznaję cię w pełni i na moje nieszczęście poznaję za późno; dzisiaj to poznanie może tylko pogłębić moją rozpacz. Wiedz jednak, że zbrodnia nie ujdzie ci bezkarnie i że to niebo, z którego się naigrawasz, pomści mnie za twoją przewrotność”.

Jak widać, lepszy tu jest przekład Korzeniewskiego, którego niedociągnięciem jest tylko zwrot: „pogłębić moją rozpacz” (zamiast

(Dokończenie na str. 7)

NOWE I STARE

(Dokończenie ze str. 3)

rytmem o przybrzeżny piasek. Woda powoli zatapia łąki, wzgórze przemieniają się w wyspy. W dali sienie miasteczko Zasław. W prostej linii jest do niego około dziesięciu kilometrów. W przyszłym roku jezioro podejdzie pod Zasław i będą przybijać do przystani ciała statki.

Na tym piaszczystym pagórku, podłasnym wygonie, który wskazuje nam ręką technik prowadzący budowę, zostaną postawione domy wypoczynkowe i restauracje. Budowa jeziora kosztuje do tej pory jedenaście milionów rubli, wyposażenie miejscowości we wszelkie urządzenia będzie trzykrotnie droższe.

Stoimy na wale, wiatr pędzi wody rozlanej Świsłocy ku śluzie. Trzeba dużej siły wyobraźni, by pogodzić fantazję z rzeczywistością. „Pogłębimy rzekę i puścimy nią tramwaj wodny do miasta” — dodaje technik, dość lekko traktując te 30 km odległości.

Na brzegu wąskiej strugi siedzą z kamiennym spokojem rybacy. Srebrna piana nurtu przelewającego się przez śluzę ociera się o koryzający się pławik. Zaglądam do koszyka, niby duża szyszka ciemnieje w nim leszcz. Warto więc było cierpliwie wpatrywać się w wodę, w którą złotymi kropkami ścieka słońce. Podrywający się wiatr prósy piaskiem.

A za zielonym wałem wypelnia się morze.

*

Mały domek Rumiancewa wygląda staromodnie na tle nowoczesnych gmachów. Wyraźnie widać budynek Opery i komendę okręgu wojskowego na wzgórzu. A tu drewniane ściany świecą szarozielonym połyskiem, blaszany dach odbija blask słoneczny, za ogródkiem — Świsłoc. Mieści się w nim Muzeum I Zjazdu SDPRR.

W jednym z pokoi wisi portret gospodarza, zrobiony z fotografii. Przedstawia mężczyznę w średnim wieku, o typowym wyglądzie rosyjskiego inteligenta, dobrodusznego, z mądrym, pełnym wyrozumiałości spojrzeniem; z brodą i w binoklach. Przypomina bohaterów Czechowa, tych zagubionych na prowincji, szukających za wszelką cenę prawdy ludzi, dla których Rosja stawała się nienawistną „salą nr 6”. Rumiancew był urzędnikiem kolejowym, domek jego znajdował się na peryferiach, na zarzeczu, przy moskiewskiej szosie, miejsce więc nie wzbudzało podejrzeń, tym więcej że zjazd sąsiedzi przyjęli jako uroczystość rodzinną; przynajmniej tak im powiedziano. W trzech pokojach uczestnicy — było ich tylko czterech — ustalili program socjaldemokracji i uchwalili tekst

Manifestu, wydrukowanego następnie w tajnej drukarni mieszczańskiej się w chalupie na przedmieściach Bobrujska. Lenina na zjeździe nie było, gdyż znajdował się w tym czasie we wsi Szuszenskoje, na syberyjskim zesłaniu. Centralny Komitet partii wybrany na tym zjeździe został wkrótce aresztowany. Zaś Manifest wydany w imieniu jednoczących się grup socjaldemokratycznych był niewystarczający.

Domek Rumiancewa ma tę świeżość i schludność odbudowy, która nie przyczyniała zabytkom szacunku. Jest zbyt nowy, aby uwierzyć, że w marcu 1893 roku odbył się tu zjazd o historycznej doniosłości. Wnętrze zostało odtworzone z podziwem godną dokładnością — spory fikus w drewnianej doniczce, kanapa z czerwonym pluszowym obiciem, biurko z przyborami do pisania, etażerka na książki z nieodstępnymi tomami Darwina i Lwa hr. Tolstoja, na ścianach reprodukcje Lewitana — nostalgicznie pejzaż środkowej Rosji, skąpany w złotych blaskach.

Socjaldemokracja rodziła się w drobniomieszczańskich pokojach i trudno się jej pod niektórymi względami oderwać od tego pluszu. Wystarczy spojrzeć po pokoju, w którym mieszkam, po „numerze hotelowym”, aby potwierdzić to mniemanie. Pluszowe portyery na oknach i drzwiach, ciężki burakowy wytłaczany plusz. A na ścianie obraz — las w zimie, zaspany śniegiem. Takie wystawiano w „Zachęcie” przed pięćdziesięciu laty i ofiarowywano w obdłkach prenumeratorom „Tygodnika Ilustrowanego”.

27 lipca

Ostatnie godziny w Mińsku. Wieczór. Trzeba odpocząć trochę, a co ważniejsze — uporządkować wrażenia. Życie w takim przyspieszonym tempie powoduje groźną dla pamięci zbitkę pojęciową, zaciera się ostrość przeżyć i samemu trudno wydobyć się z tego labiryntu.

Leżę na łóżku, z rękami pod głową i wpatruję się w okna, poza którymi migocą w świetle latarni liście młodych lip. Ile lat mogą mieć te drzewa? Są na pewno starsze od budynków, przy których stoją, na które rzucają spory już cień. Są starsze od samej ulicy, to nie ulega wątpliwości, bowiem całe środowisko Mińska na nowo powstało po wojnie. Ale też nie sięgają tych czasów, kiedy obecny prospekt Stalina nosił nazwę ulicy Zacharzewskiej, której środkiem posuwał się tramwaj ciągniony przez parę siłków, tramwaj zwany „konką”. Wydarze, ziemie, wgniecioną między beton chodników a asfalt nawierzchni drzewa te rozrosły się już pięknie, przesłaniając listwami szyby. W słoneczne popołudnia ich cień rysuje się na szkle niewyraźnym zatartym konturem niby pajęczyna, w której świecą kropki tęczy. Teraz noca ich korony mają kształt dalekich wzgórz.

Otwieram szersze okno, jest duzo. Uliczka spokojna, wąska, ciemna. Naprzeciw gmach Komendy Wojsk Pogranicznych, który pustoszeje w godzinach wieczornych, tylko rankiem stukają na bruku żołnierskie buty. Wydaje mi się więc, że jestem zupełnie sam i ta noc za oknami rośnie jak nadwiślańska topola.

W myślach wędruję po mieście. Jest to na pewno dziwna wędrówka, w której fantazja przeczy rzeczywistości, choć się na niej wspiera. Staram się przypomnieć, co poznałem, z chaosu widzianych i zapamiętanych obrazów wydobyć ich właściwy sens. Jest w tym jakaś prawdziwość przeżywania i tak chyba być powinno. Nie można przejść obojętnie obok tego co widziałem, co kształtowało wyobraźnię. Wszystko przeżyte powraca teraz przemysleniami, zastanawia, absorbuje. I tak wędrując miastem dochodzę do przekonania, że czegoś mi w nim brak — związania z historią. Mińsk liczy prawie tysiąc lat, tego nie poznać w powojennym Mińsku, zabityki zostały zepchnięte, przesłonięte wspaniałością nowoczesnych użytkowych gmachów i kamienic, lecz gdzie jest historia Mińska? Żywa historia zaczęła się wprowadzić 3 lipca 1944 roku, w dniu wyzwolenia, lecz istnieje ta wielka historia, która ma również prawo do tego miasta. Ryć może przybyłszy z Warszawy, gdzie przeszłość jest na każdym kroku dopasowywana do teraźniejszości, a nawet często góruje nad nią, wydaje się, że temu pięknemu, pełnemu szerokiej ulic, jasnych domów i zielonej miastu czegoś jednak brak. Nową Hutę usprawiedliwia sześć lat istnienia, Mińsk natomiast zobowiązuje te tysiąc niewykorzystanych lat. Może się mylę i przykładam zbyt dużą wagę do tych związków kulturalnych, o jakich zazwyczaj myślimy nie bez pewnego wzruszenia. Lecz nasza epoka, jak żadna inna, ma dwie twarze. I jedną z nich zwraca ku przeszłości.

Ktoś delikatnie puka do drzwi i przerywa moje rozmyślenia. Nadchodzi ciężka chwila pożegnania niedawno poznanych przyjaciół. Podchodzę więc do drzwi i otwieram je na oścież.

Lesław Bartoś



„Don Juan” Moliera. Scena z aktu II.

Sprawy do załatwienia

(Dokończenie ze str. 2)

ogółe i sprawy propagandy w ogóle. Dlatego sądzę, że warto dyskusję skupić na obiektywnych źródłach zła (nie lekceważąc zresztą subiektywnych) — obiektywnych w tym sensie, że usunięcie ich zależne jest od dość wysokich szczebli organizacji naszego życia społecznego.

Czy tylko o tych wysokich szczeblu? Na pewno nie. Jest bowiem naszym obowiązkiem, obowiązkiem ludzi bezpośrednio pracujących w dziedzinie, o której tu mowa, śmiało zwrócić uwagę na to, co uważamy za złe i wymagające zmian, zmiany te zaproponować, bić się o ich realizację. Naszą będzie wina, jeśli dyskusja o tych sprawach sprowadzi się do grzecznej samokrytyki i grzecznych ogólników o konieczności lepszej pracy, lepszego przygotowania, lepszego przekonywania, lepszego walczenia o zwycięstwo naszej ideologii. Trzeba bowiem dyskutować o stworzeniu — w pełni możliwym — lepszych warunków do tego wszystkich.

Sprawa druga. Dyskutując o nie-dobrej sytuacji w zakresie nauczania przedmiotów ideologicznych, trzeba — jak sądzę — wziąć pod uwagę, iż znaczną, jeśli nie przeważającą część wad i braków powstała lub przynajmniej ujawniła się tu dopiero z czasem. Innymi słowy, trzeba zastosować coś w rodzaju ruchomej skali ocen, porównując rezultaty nie z wymogami sztywnymi, niezmiennymi, lecz zmieniającymi się, i konkretnie — rosnącymi. Nie wolno przy tym ani na chwilę zapominać, że na wzrost wymogów wpłynęły w poważnym stopniu same rezultaty popularyzacji filozofii marksistowskiej, nauczania materializmu dialektycznego i historycznego w okresie poprzedzającym.

Tzw. „teoria etapów” nie cieszy się u nas dobrą sławą. Nie z przekory, lecz z głębokiego przekonania gotów jestem wszakże jej bronić. Niejedną bowiem rzecz zią krytykuje się czasem tak, jakby odkrywano Amerykę, jakby na krytykujących przyszło nagie ośnienie, jakby dziś dopiero odkryto zło, jakby wczoraj nikt o tym nie wiedział i nie mówił, i jakby sami dziś krytykujący wczoraj nie bronili — z zapałem godnym często lepszej sprawy — wad i błędów, nie przedstawiali ich jako rzeczy znaniomych, absolutnie niezbędnych. Tymczasem nie tak to wygląda. Wypaczenia były wypaczeniami również wczoraj, i ci, którzy wypaczeń bronili (nieraz bardzo hałaśliwie i napastliwie), powinni zachować nieco umiaru i skromności wtedy, gdy zostaje podjęta kampania walki przeciw owym wypaczeniom. Z drugiej jednak strony niesposób zrozumieć cokolwiek z procesu naszego rozwoju ideologicznego, jeśli z jego interpretacji wyrzucimy tezę, że wypaczenia wyrosły w sposób wytlumaczalny (choć wcale nie konieczny) na gruncie zjawisk i potrzeb innego etapu. Nierzadko obserwujemy dziś krytyczną historię wczorajszych zawodowych „lajkierników”. I nierzadko spotykamy się ze złośliwą krytyką takich, którzy „wszystko z góry wiedzieli” i którzy wobec tego ze złą ukrywano satysfakcją błędy i wypaczenia dnia wczorajszego atakują z pozycji wypracowanych — nie przez nich — w nowym okresie, przy tym wypracowanych w trudzie, w mękach, w walce. Są to niedobre, fałszywe procedury. One to właśnie sprzyjają najbardziej dogmatyzmowi i konformizmowi, one też najwięcej utrudniają wychowanie wydobycie moralnych wartości naszej ideologii, gdyż uczą zakłamania i koniunkturalizmu.

Uwagi te dotyczą metody krytykowania błędów i wypaczeń nie tylko w dziedzinie problematyki leninowskich norm życia partyjnego, kultu jednostki, ludowej praworządności, uprawiania sztuki i nauk, ale również — jak łatwo się domyślić — w dziedzinie nauczania filozofii i socjologii marksistowskiej. Zresztą nikt chyba nie wątpi, że błędy i wypaczenia w tych różnych dziedzinach naszego życia były i są ściśle ze sobą związane, że podjęcie walki z błędami i wypaczeniami w jednej dziedzinie otwiera możliwości i stwarza konieczność podjęcia takiej walki w dziedzinie innej. Walka o przywrócenie i dalszy rozwój leninowskich zasad życia partyjnego oraz zasad ludowej praworządności — oto główne ognio, którego uchwycenie pozwoliło pociągnąć cały łańcuch palących problemów naszej ekonomiki i naszej kultury.

W latach, w których historiografia uniwersytecka stała w przeważającej mierze na pozycjach metodologii idealistycznej i uprawiana była po przyczynkarsku, socjologia marksistowska — nawet ta wyłożona w sposób uproszczony, nawet ta grzesząca schematycznymi zapędaniami — odgrywała pozytywną rolę, gdyż stanowiła potężną broń w walce o przeistawienie historiografii na nowo tery. Gdy jednak sama uniwersytecka historiografia stała świadomie na pozycjach marksistowskich i mimo wielu niewłaściwych niedomogów osiąga na tej nowej drodze coraz lepsze rezultaty, wówczas uproszczone wykłady materializmu historycznego, schematyczne, przeżuwające i „lajkierniczo” pisaniny, jałowe ilustratorstwo, brak śmiałości, twórczej myśli i brak głębokiej wiedzy historycznej wśród

socjologów-marksistów staje się oczywistym czymś nieporównanie szkodliwszym niż dawniej. Pamiętam, z jakim zaciekawieniem i zapałem uczestniczyli nie tylko pomocnicy, ale również samodzielni pracownicy nauki wtedy jeszcze SGH (obecnej SGPIŚ) w metodologicznym seminarium z materializmem dialektycznego i historycznego, które zostało zorganizowane na tej uczelni w r. ak. 1948-49. A przecież to, co ludzie przyznawali do prowadzenia tego seminarium mieli wówczas do powiedzenia, było dość ogólnikowe, dość schematyczne i na pewno gorsze niż to, co na podobne tematy mogliby powiedzieć dzisiaj. Jednakże w tamtej sytuacji najprostsze i w najbardziej elementarny sposób podane prawdy teorii i metodologii marksistowskiej działały niezwykle pobudzająco i bywały dla wielu pracowników nauki dawnej szkoły istotnie odkryciami, których opanowanie i zastosowanie otwierało im w ich własnych dziedzinach szerokie i nowe horyzonty. W latach 1950 i 1951 miałem sposobność (i śmiałość) wygłoszenia dwóch wykładów z materializmu dialektycznego i historycznego w gronie pracowników naukowych dziedzin przyrodniczych. Przeglądając niedawno maszynopisy tych wykładów; głupstw wprawdzie — jeśli potrafię to ocenić — tam chyba nie było, ale też dziś nie miałbym odwagi pójść do takich środowisk nawet z wykładami znacznie lepszymi. Wtedy jednak problematyka — dziś już banalna i oklepna — była dla wielu nowa i świeża; świeżość problematyki przesłaniała brak jej podania.

Oto przykłady konieczności stosowania ruchomej skali ocen. Wymogi wzrosły niezwykle silnie, m. in. dzięki upowszechnieniu materializmu dialektycznego i historycznego w jego postaci najprostszej, elementarnej i — co tu dużo gadać — bardzo schematycznej. Krytyka nihilistyczna, krytyka, która widzi same rzeczy złe i z nietajoną czasem a złośliwą radością podkreśla same minusy (wypadki takiej krytyki dorobku przedmiotów ideologicznych zdarzają się ostatnio) — otóż taka krytyka może prowadzić tylko wstecz, nie zaś naprzód, tylko ku gorszemu, nie zaś ku lepszemu.

O NIEKTÓRYCH PROBLEMACH DYSKUSYJNYCH

Jak zawsze, gdy powstaje zadanie wielopłaszczyznowej oceny skomplikowanej sytuacji oraz zadanie reformy w szerzej zjawisk wszechstronnie sprzężonych z jakąś domołą dziedziną życia społecznego — tak i w wypadku dyskusji o nauczaniu materializmu dialektycznego i historycznego uwaga dyskutujących kieruje się ku problematyce głównego ognia. Ale dotychczasowe wysiłki na tym polu przypominają szukanie raczej kamienia filozoficznego niż głównego ognia. Nie wierzę w możliwość znalezienia i uchwycenia głównego ognia sprawą drogą ośwień i intuicji, bez uprzedniej szerokiej i wszechstronnej dyskusji o różnych problemach cząstkowych, bez ukazywania w tej dyskusji różnych, bardzo praktycznych, bardzo przyziemnych i nawet technicznych aspektów sytuacji. W ogóle nie wierzę w inną metodę znajdowania głównych ognió, gdyż nie wierzę w skuteczność procedur apriorycznych i spekulacji, choćby osłoniętych maską walki z „klasnym empiryzmem”, walki o „prawo teorii”. Takie procedury ukazują najczęściej nie rzeczywistą problematykę głównego ognia, lecz dość iluzoryczną i co najmniej bardzo wieloznaczną problematykę kamienia filozoficznego: bo mowa wtedy o rzeczach zapewne słusznych, lecz tak ogólnikowych, tak banalnych, tak właściwie niespójnych, że dopiero rozszyfrowanie ich, rozłożenie na szereg pomniejszych i praktycznych zagadnień, wyjaśnienie, co się przez co i jak rozumie, prowadzi do sporu, do dyskusji, do kontrowersji i różnicy zdań na temat przyczyn i skutków, na temat przyczyn głównych i przyczyn ubocznych, na temat środków walki ze złem — na temat głównego ognia, które trzeba uchwycić, by pociągnąć cały łańcuch.

Przyznaję się od razu, że nie mam jasnego poglądu, co jest owym głównym ogniem w problematyce sytuacji nauczania materializmu dialektycznego i historycznego na wyższych uczelniach. Nie idzie mi bowiem o takie fundamentalne główne ognio, jak walka o leninowskie zasady życia partyjnego i o ludową praworządność; ono dotyczy całego naszego życia społecznego, całej naszej ekonomiki i kultury, a nie tylko tej specyficznej w końcu sprawy, o której tu mowa. Nie wdaję się więc w polemikę z wyrażanymi tu i owdzie opiniami na ten temat, spróbuję jedynie wyliczyć kilka cząstkowych problemów, które — jak sądzę — warte są przedyskutowania, zanim dyskutujący przystąpią do określenia, co jest głównym ogniem w naszej sprawie.

Czy więc nie warto najpierw przedyskutować całego kompleksu problemów, które bezpośrednio wiążą się z trudnościami wynikają-

mi z samego charakteru przedmiotu? Dla nikogo nie jest tajemnicą, że zakresowo-badawcza problematyka materializmu dialektycznego i historycznego przeżywa swoiste kłopoty, że nadto rozwijanie materializmu dialektycznego i historycznego, dochodzenie do nowych uogólnień filozoficznych i socjologicznych oraz pogłębianie dawnych w oparciu o konkretny materiał nowych osiągnięć nauki i nowych zjawisk życia społecznego napotyka na określone trudności metodologiczne — i nie tylko metodologiczne. Kłopoty, o których tu mowa, to kryzys wzrostu. Wynika on stąd, że system filozofii marksistowskiej organicznie — wbrew wszystkim złym próbom i obyczajom — nie może, nie chce zakrzepnąć, przemienić się na trwałe w katalog dogmatów i schematów; oraz stąd, że wielkie osiągnięcia teorii i metodologii marksistowskiej przeniknęły lub przenikają do nauk szczegółowych i opanowały lub opanowują praktykę życia społecznego. Ale kryzys ów jest niewątpliw i wymaga poważnego, twórczego wysiłku filozofów i socjologów marksistowskich, którzy muszą przeskoczyć ukształtowany wysoki szczebel trudności, wznieść się na niezbędny nowy — i właśnie wyższy — poziom i pchnąć naukę naprzód. Czyż nie jest rzeczą oczywistą, że w tych warunkach nauczanie, które biegnie na ogół starymi torami, a nowymi jeszcze biec nie może, bo brak mu usystematyzowania nowych (dotąd zresztą niestety nikłych) osiągnięć naukowo-badawczych — że nauczanie to nie zadowala i nie powinno zadowalać ani nauczanych, ani nauczających, ani nikogo, kto od filozofii oczekuje realnej pomocy, a nie przeżuwania dnia wczorajszego? Czyż nie jest rzeczą oczywistą, że jednym z kluczowych zagadnień lepszego nauczania materializmu dialektycznego i historycznego jest zagadnienie wydajnej poprawy sytuacji na odcinku badań naukowych w tym zakresie? Czy nie warto o tym szerzej podyskutować?

Naturalnie na tej — zresztą już dostatecznie szerokiej i dalekiej od wyjaśnienia — sprawie rzecz się nie kończy. Dla przykładu: czy na serio pomyślał już ktoś o rozwiązaniu (nie metodą ogólnikowego hasła!) trudności polegającej na tym, że schematyzmu trzeba uniknąć w wykładzie przedmiotu, który przy stopniu swej ogólności, przy niewielkim stosunkowo wymiarze godzin zajęć oraz przy konieczności najkrótszego choćby omówienia na tych zajęciach podstawowych terminów, kategorii i twierdzeń bądź co bądź systemu — właściwie nie może nie być schematyczny? Na jednej z dyskusji w INS powiedział ktoś, że między samym charakterem, samą istotą materializmu dialektycznego i historycznego a pisaniem podręcznika, robieniem systematycznego wykładu tego przedmiotu zachodzi sprzeczność. To chyba racja. A jednak takie podręczniki i takie wykłady są póki co niezbędne. Oto trudność, której nie tylko nie da się uniknąć, ale której rozwiązanie wymaga wielkiego wysiłku i mimo to nigdy nie będzie idealne.

Inna góra problemów, o których warto podyskutować, wiąże się ze sprawą kadry nauczającej. Jest to po pierwsze kadra ilościowo nader niska w stosunku do różnorakich potrzeb frontu filozoficznego, a więc z natury rzeczy jeszcze bardziej przeciążona obowiązkami niż inni pracownicy nauki. Jest to następnie — co tu owijać w bawełnę — kadra ludzi, z których większość nie posiada i nie może posiadać ani pełnych formalnych kwalifikacji naukowych, ani systematycznego i szerokiego przygotowania filozoficznego i socjologicznego, ani wystarczającej erudycji pozafilozoficznej, tak nieodzownej właśnie dla filozofa i szczególnie potrzebnej w okresie charakteryzującym się m. in. laktniem konkretnu, słuszną niechęcią do ogólników. Jest to wreszcie kadra ludzi, którzy właśnie z racji okoliczności poprzednio omówionych powinni mieć zapewnione szczególnie sprzyjające warunki czasowe i organizacyjne zarówno dla szybkiego i bardzo wszechstronnego podwyższania swych kwalifikacji i swej erudycji, jak i dla prowadzenia pracy naukowo-badawczej po nowemu — czyli pracy bardzo trudnej. Jak zaradzić kłopotom, które tu muszą wynikać? Oto kompleks problemów wartych przedyskutowania, rozwiązania i załatwienia.

Złączenie z tym kompleksem problemów trzeba by koniecznie doprowadzić do końca sprawę nowego programu studiów filozoficznych, sprawę zapewnienia tym studiom należytej opieki i należytych środków materialnych i technicznych, sprawę rozsądnego rozstawienia skąpych sił tak, by do czasu zapewnić także w tym zakresie prymat „produkcji środków produkcji” — nawet kosztem przejściowego ograniczenia rozwoju „konsumcji”. Obawiam się, że tutaj zrobiono niejedną poważną błąd, który mści się po dziś dzień, że lekkomyślnie rozdeło „konsumcję” (tj. nauczanie „usługowe”) bez zabezpieczenia odpowiednio kwalifikowanych sił, utrudniając jednocześnie należyte przygotowanie nowych sił nauczających. Obawiam się też, że sprawa pro-

gramu studiów filozoficznych jest traktowana ciągle jako sprawa drugorzędna, że nie docenia się wagi tej sprawy, że nie widzi się jej wpływu na perspektywy rozwoju naszej nauki i kultury, że rozpatruje się rzecz w jej aspekcie ilościowym (tj. w aspekcie stosunkowo niewielkiej ilości studiujących filozofię), zamiast ją rozpatrywać w aspekcie jakościowym.

Warto również bliżej podyskutować o tak przyziemnych sprawach, jak stosunek poszczególnych przedmiotów ideologicznych do siebie, jak potrzeba lub brak koniecznej potrzeby wykładania tego lub innego przedmiotu ideologicznego na tym lub innym kierunku studiów, jak programy i siatki godzin, jak harmonizacja programów, jak ich profilowanie stosownie do kierunku studiów, jak charakter oraz potrzeba lub brak potrzeby tzw. ćwiczeń z przedmiotów ideologicznych (z uwzględnieniem realnej możliwości należytego obsłużenia tego trudniejszego raczej rodzaju zajęć), jak kwestia obciążenia studentów nadmierną ilością obowiązkowych zajęć i obowiązkowej lektury, itd. itp. Chciałbym z całym naciskiem podkreślić, że po pierwsze jestem w tych wszystkich sprawach zwolennikiem znanej zasady „lepiej mniej, ale lepiej”; i że po drugie to z pozoru techniczne raczej i drugorzędne sprawy wiążą się moim zdaniem w nader istotny sposób z problematyką głównego ognia.

Nie wyczerpałem, rzecz jasna, katalogu ważnych problemów, które — jak sądzę — powinny być przedyskutowane. Ale jest ich i tak dość, by zastąpić nimi poszukiwanie kamienia filozoficznego.

O MORALNEJ SILE PRAWDY

Napisałem, że nie wierzę w kamienie filozoficzne. Ale wierzę, że jest taka sprawa, która — choć sama przez się niczego nie rozstrzyga i dlatego w swej ogólnej postaci nie może awansować do roli głównego ognia w naszej problematyce — przecież zajmuje w tej problematyce centralne miejsce. Jest to sprawa moralnej siły prawdy. Nauczanie — i przede wszystkim nauczanie materializmu dialektycznego i historycznego, nauczanie filozofii — musi wychowywać. Wychowuje zaś nie moralizatorstwo, nie opaczne pseudoupolitycznianie, nie pogon za pseudoaktualnością (kwestie moralne! miłość!). Wychowuje nie robienie z przedmiotów ideologicznych jakiejś omylonej nauki religii czy moralistyki, a z wykładów tych przedmiotów jakiejś odmiany duszpasterzy. Wychowując winny pedagogiczne konsekwencje faktu, iż w naszej filozofii prawda — bezkompromisowa, rzetelna prawda naukowa — jest sprzymierzeńcem postępu, sprzymierzeńcem narodu i ludzkości, sprzymierzeńcem sprawy, o którą walczą na czele mas pracujących klasa robotnicza. W tym zawarta jest właśnie moralna siła prawdy, w tym mieści się cały program wychowywania w duchu pasji naukowej i rewolucyjnego humanizmu. Ten program postuluje ogromną sumienność, głęboką i wszechstronną wiedzę, rzetelność i dociekliwość w naukowych badaniach, w naukowej krytyce i w samym nauczaniu. Ten program — to problem całej naszej propagandy, a nie tylko nauczania filozofii.

Nie ludźmy się, że jest to kwestia prosta. I o niej trzeba by podyskutować. Jest to w ogóle temat w oczekiwaniu autorów — i sprawa do załatwienia.

Julian Hochfeld

„Don Juan” na wygnaniu

(Dokończenie ze str. 6)

„doprowadzić mnie do rozpaczy”, podczas gdy Boy, który pisze górnolotnie „wydać na pastwę rozpaczy”, tłumaczy „se jouer de” — co znaczy natrząsać się, naigrawać — jako „igrać”, i zamiast tego, by niebo pomściło Elwirę, w tekście Boya niebo „pomści się”.

Drobiazgi? Zapewne. Ale proszę sobie wyobrazić, jakiej podobne drobniaki wymagają korekty. Na pewno są też błędy u Korzeniewskiego. Stanisław Brzuc zauważył („Kronika” Nr 9), że w scenie z żebrakiem, kiedy Don Juan mówi: „Va, va, je te le donne pour l'homme de l'humanité”, Korzeniewski tłumaczy mylnie: „Dobrze, dobrze, daję ci go z miłości dla człowieka” — zamiast „przez miłość ludzkości”, jak tłumaczy Boy. Istotnie wyrażenie to przed stu przeszło laty zwróciło już uwagę historyków literatury, jako że — pisał L. Aimé-Martin — „ce mot d'humanité n'était point encore à la mode, et il y a dans cette phrase, si courte et si précise, une véritable prévision des doctrines du dix-huitième siècle” (słowo ludzkość wtedy nie było jeszcze w modzie i zdanie to, tak krótkie i precyzyjne, zawiera istne przewidywanie doktryny osiemnastego stu-

Wydan niedawno w Związku Radzieckim dwutomowy wybór wierszy, przekładów poetyckich i essayów Walerego Briusowa (1873 — 1924) przypomniał mi tożność tego wybitnego poety rosyjskiego, niegdyś przywódcy symbolistów, tłumacza Verhaerena i Mallarmego, poety, który przeżył drogę od dekadentyzmu końca XIX wieku do humanizmu rewolucyjnego, do szeregów „partii komunistycznej”.

Poniżej zamieszczamy kilka notatek z jego „Miscellaneów” — „uwag i myśli o sztuce, o literaturze, o krytykach i o samym sobie”.

XXV

Krytycy skorzy są charakteryzować osobowość liryka na podstawie jego wierszy. Jeżeli poeta mówi „ja”, krytycy odnoszą to co powiedział do jego własnej osoby. Sprzeczności nie do pogodzenia, w jakich, z tego punktu widzenia, pogajają się poeci, nie wprawiają krytyków w zakłopotanie. Usiłują je tłumaczyć „przypadkowością nastrojów”. A przecież w każdym nowym wierszu prawdziwego poety jest nowe „ja”. Liryk w utworach swoich przemawia różnymi głosami, jakby w imieniu różnych postaci. Liryka jest prawie tym samym co sztuka dramatu, i podobnie jak byłoby rzeczą niesłuszną przypisywać Szekspirowi uczucia Makbety, tak samo błędem byłoby wnioskować o sympatiach i poglądach Balmonta na podstawie tego czy innego wiersza. Indywidualność poety można uchwycić w charakterystycznych cechach jego twórczości — w jego ulubionych obrazach, jego metaforach, w jego miarach i rymach, ale nie można jej wprowadzać bezpośrednio z uczuć i myśli, jakie wyraża w swoich wierszach. Tylko poeta-pedant potrafi uniknąć sprzeczności, tylko ten, kto nie „tworzy”, lecz robi swoje wiersze, będzie w nich nieodmiennie wierny zawsze tym samym poglądom na rzeczy.

XIX

Marzenie jest zawsze rzeczywistością, realnym faktem dla tego kto marzy. Fikcja, zmyślenie artysty staje się rzeczywistością przenikając do świadomości czytelników, widzów, słuchaczy. „Don Kichot” wywarł realny wpływ na życie, pociągając jednych szlachetnością swoich postaci, przestrzegając innych karykaturalnością swoich przypadków i czynów. Dzięki temu, że przeszedł przez świadomość milionów, Don Kichot jest nie mniej realny niż Napoleon. Słusznie też czynią gorliwi przewodnicy pokazując turystom na wyspie d'If loch, do którego wtrącono hrabiego Monte Christo.

XX

Należy rozróżniać rzeczy „płaskie” i „banalne”. Rzecz płaska pozostaje płaską po wsze czasy i dla wszystkich narodów. Płaski dowcip wyda się tak samo płaski Chinowi czy Francuzowi i b.aby również płaski, gdyby go opowiedziano w starożytniej Attyce. Banalem jest rzecz w dniu dzisiejszym powszechnie znana i uznana. To, co dziś jest banalem, mogło być czymś oryginalnym sto lat temu, może być czymś oryginalnym w innym kraju i może znów stać się czymś oryginalnym za kilka lat. Na najniższym szczeblu rozwoju człowiek zna jedynie i wyłącznie banały. Uznaje jedynie rzeczy powszechnie uznane, mówi tylko rzeczy powszechnie wiadome. Na wyższym szczeblu człowiek unika banałów, szuka rzeczy oryginalnych, rozkoszuje się jedynie tym, co nie jest banalne. Ale jest jeszcze wyższy szczebel: stoja na nim ludzie, którzy mówią nie tylko dla swojego czasu, ale i

dla przyszłości; potrafią oni wybierać spośród prawd banalnych takie, które w pewnej chwili staną się znów potrzebne, ważne, oryginalne.

XXV

Mówić w sposób „prosty” i mówić w sposób „zrozumiały” to nie synonimy. Dla nie-specjalisty może być niezrozumiała rzecz powiedziana w sposób bardzo prosty. Dla czytelnika obeznanego z poezją wiersze Tłustcewa i Feta są proste; dla kogoś, kto po raz pierwszy sięga po poezję, są niezrozumiałe. Ażby rzecz napisana była prosta — to musi sprawić pisarz; ażeby rzecz napisana była zrozumiała — musi to osiągnąć czytelnik. Mallarmé pisał w sposób daleki od prostoty, wskazuje dla tych, co znają jego manierę, sonety jego są zupełnie zrozumiałe. Czy warto się uczyć, by zrozumieć danego pisarza — to sprawa wyboru. Są ludzie, którzy uczyli się sanskrytu, aby czytać w oryginale Kalidasa.

XXXIV

Historia poezji jest (między innymi) historią stopniowego ooskonalenia poetyckich środków wyrazu. Podobnie jak człowiek współczesny posiada o wiele potężniejsze środki do walki z przyrodą, aniżeli ludzie pierwotni, tak samo poeta współczesny rozporządza bardziej skutecznymi środkami do osiągania swoich celów, niż poeta dawnych epok. Możliwe, że przed poetami Hellady, Rzymu, średniowiecza wyłaniały się te same tematy, nad którymi pracowali lirycy wieku XIX; w dawnych jednak stuleciach poezja nie rozporządzała środkami, aby móc ucieleścić te tematy w słowie. I dzisiaj również wyłaniają się ważne zadania artystyczne, których nie podobna jeszcze rozwiązać nie dlatego, iżby nie dostawało talentu poszczególnym poetom, ale z braku odpowiednich środków techniki poetyckiej. Poeta antyczny mógł odczuwać to samo, co wyrażał Goethe w swym wierszu „Über allen Gipfeln ist Ruh...” Ale jak mógł oddać ten nastrój, jeżeli jedynym niemal środkiem liryki było uosobienie sił w postaci olimpijskich bogów?

XXIV

Czy możliwa jest w ogóle komunikacja międzyplanetarna? W każdym razie nie ma w tym nic, co by przeczyło danym nauki. „Podróż” z Ziemi na inną planetę może b. mało prawdopodobne, ponieważ wymagałoby zbyt wiele czasu (co powodowałoby zbyt wiele trudności technicznych: konieczność przewożenia ogromnego zapasu tlenu, żywności, wody). Natomiast telegraf bez drutu otwiera szerokie perspektywy dla „nawijania łańcuchów”. Gdyby ludzkość, zamiast prowadzić wojny, poświęciła swe siły takiej sprawie, to może za pomocą odbiorników ogromnej siły udałoły się już pochwycić „sygnały” z innych światów. To, że dotąd tak mało w tym kierunku zrobiono, świadczy, że stoimy na niskim szczeblu rozwoju wśród obywateli wszechświata. Zresztą mieszkańcy innych planet również nie potrafili wyraźnie powiedzieć Ziemi o swoim istnieniu: to stanowi dla nas poniekąd okoliczność łagodzącą.

XXXIX

Kiedy mowa o komunikacji międzyplanetarnej, zapominamy o ogromie odległości między planetami. Jeżeli nawet na wymyślonym wykreśle będzie się leciało w przestworzach z szybkością wielokrotnie przewyższającą szybkość ekspresu, to mimo wszystko potrzeba będzie kilku lat, ażeby z Ziemi dotrzeć do Wenus, najbliższej nam planety. Jakż więc musi być ten wymyślony okręt, jeżeli ma pociągnąć zapasy powietrza, wody i prowiantu na tak długą podróż, nie mówiąc już o sile poruszającej? A propos. Tuż przed wojną (1914) można było przeczytać wiadomość, że pewien astronom z Pułkowa opracował we wszystkich szczegółach teorię okrętu-poisku dla celów komunikacji międzyplanetarnej. Co zastosował jako siłę poruszającą? To samo, co zaproponował jeszcze Jules Verne w swej „Podróży na Księżyc”: siłę wybuchowa rakiet. Ciekawe będzie, jeżeli fantazja powieściopisarza jeszcze raz wyprzedzi naukę.

XLIX

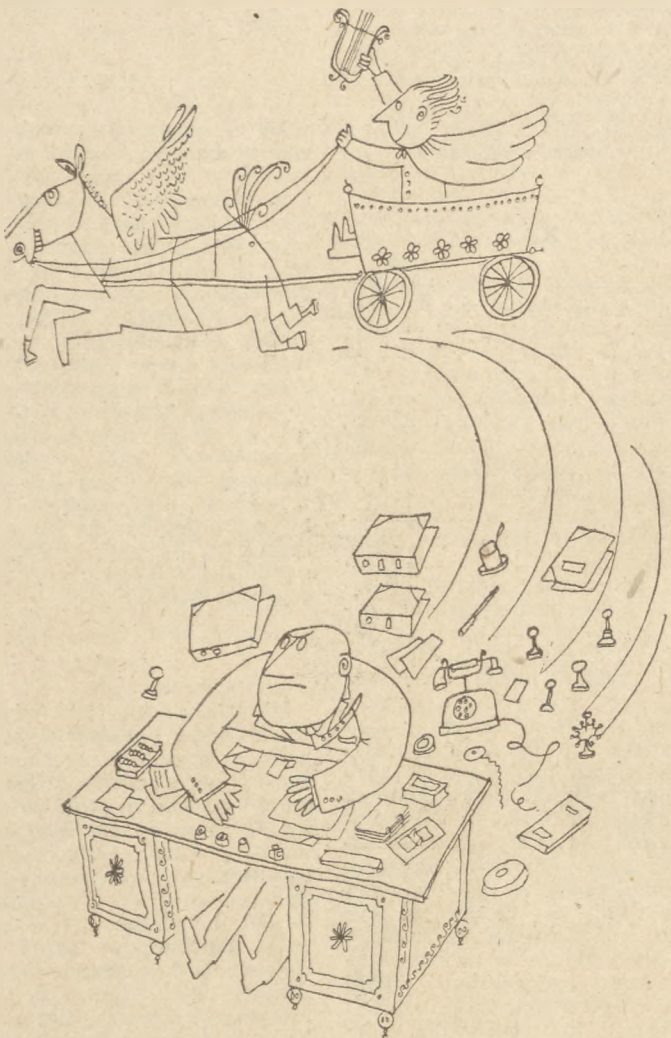
„Wybierz sobie bohatera, dogoń go, przeciągnij” — mawiał Suworow. Moim bohaterem jest Puszkin. Kiedy widzę, ile to wielkich utworów i przeróżnych szkiców zdumiewających „lebia myśli pozostało w jego nie drukowanej puszcinie, nie żał mi już moich nieznanych nikomu prac. Kiedy się dowiaduję, że Puszkin studiował Arago, d'Alamberta, teorię prawdopodobieństwa. Guizota, historię wieków średnich — nie żałuję, że strawiłem lata całe na zdobywaniu wiedzy, której nie spożytkowałem.

Adam Tarn

Wybrał i tłumaczył T. Z.

KONDRAT KRAPIWA

Dziad i baba



Rys. Lech Zahorski

Raz na jarmark jechał dziad,
z nim na wozie baba.
Koń był dobry, prawie chwał,
ale ciągnął słabo.

Koń miał lat najwyżej dwa,
taka prawda była,
no, a baba — wiedzieć trza —
sześć pudów ważyła.

Czy pod górę, czy też w dół,
koń ciągnie ospale.
Chce pomagać baba mu,
lecz nie ziążąc wcale...

„Leń, jakiego nie znał świat,
choć kosztował drogo!”
I babina konia w zad
szturcha grubą nogą.

„Przestań, głupia, pójdziesz
precz!”
dziad na babę krzyczy.

„Ty pomagasz jechać, lecz
jak kaszel gruźlicy!”

„Ach, ty diable, dziadu zły!”
baba zawrzeszczała.

„Stój tu choćby kilka dni,
dość kłopotu miałam!”

Ledwo baba z wozu precz,
siadła wedle drogi,
koń wprost pędem zaczął biec,
skąd wziął nagle nogi?!

*

Droży, iluż znamy to
podobnych do baby:
niby też pomagac chcą
lecz rezultat słaby!

Trzeba uczyć taką brać,
jakiej wciąż niemało,
i stanowczo z wozu gnać,
by się lżej jechało!

Z białoruskiego spolszczył Jan Huszcza

ZA GRANICĄ

67-LETNI UPTON SINCLAIR uznał przy końcu swojej drogi życiowej, że strzeleni życiowej wygasza największym niebezpieczeństwem dla ludzkości jest alkohol. Ogłosił on ostatnio w tygodniku „The New Republic” artykuł-manifest pod tytułem: „Wrogi w u-”
stach”. Oto wyjątki z treści: „Przez trzy czwarte wieku było moim udziałem obserwowanie mężczyzn i kobiet, którzy znaleźli drogę do swoich grobów przy użyciu alkoholu”. Do tych, którym według Uptona Sinclaira „Król alkohol” zadł śmierć, należą: „Przez trzy tysiące lat, aż do czasu, gdy używania alkoholu zmarli: Stephen Crane, James Whitcomb Riley, Heywood Brown, Edgar Lee Masters, Edwin A. Robinson, Isaac Duncan, Thomas Wolfe, O’Henry, Ambrose Bierce, Scott Fitzgerald, Hart Crane, John Barrymore, Ring Lardner, Dainoff Runyon, Dylan Thomas. Przecież to tylko niektórzy z wielu nazwisk, które przetrwały w literaturze”.
Upton Sinclair zebrał wszystkie historie „tragedii alkoholizujących w książce, która jest straszną, ale bezwzględnie prawdziwą”. Pracował nad tą książką półtora roku, angażując wiele tysięcy dolarów w zebranie materiału. Niestety, jak się okazało, jego artykuł-manifest, książka nie znalazła wydawcy. Dlatego autor zwraca się do opinii publicznej o pomoc, twierdząc, że łatwo można sprzedać milion egzemplarzy w Ameryce i około 3 miliony w sześćdziesięciu różnych krajach. Zna pisa- rza choroba, natomiast on sam, jak zaznacza, jest za- stary, aby mógł zorganizować imprezę wydawniczą. Tragiczny w zestawieniu z jego dawną twórczością, za- trącający ostatecznie zdu- czenie artykuł-manifest Sinclaira kończy się słowa- mi: „Czy nie ma wydawcy, który by wierzył w absten- nencję i udostępnił książkę tym, co sobie tego ży- czy? Czy nie ma fundacji, grupy ludzi, pojedynczych osób, które mogłyby wyło- żyć pieniądze i byłoby go- towe przyjąć egzemplarze książki?”. Cena będzie bar- dzo niska, tak samo hono- rarium autora... Nie posy- łajcie pieniędzy, a tylko zo- bowiązanie odbioru, które okaże wydawcy, jeśli tak- owego znajdzie.”

IMPRESJE MICKIEWI- CZOWSKIE W RUMUNII. Jak podaje prasa rumu- niska, w jesieni br. odbędzie się w Rumunii wiele im- prez poświęconych 100-let- niemu smierci Adama Mickie- wicza. Najważniejsze z nich to: uroczyste posiedzenie Akademii Nauk z referat- em prof. Emila Petrovici i Wolf w ramach sympozjum poetyki w sali Dalles w Bukaresz- cie. Uroczyste akademie odbędą się we wszystkich miastach rumuńskich. Związki Zawodowe organi- zują ich odczyty w świetlicach miejskich i wiejskich. We wszystkich szkołach zosta- nie poświęcona Mickiewi- czowi specjalna godzina lekcyjna. Przeglądano już na rumuński „Mickie- wicza” Mieczysława Jastru- na, a w najbliższych dniach ukaze się na półkach księ- garskich pierwsze pełne wydanie „Pana Tadeusza” w języku rumuńskim.

ELPIDIO BERTOLI, uwa- żany za jednego z najlep- szych portrecistów włos- kich, postanowił zerwać z tradycją i tendencją metafizyczną w swojej twórczości. Bertoli, który ma już za sobą 30 lat pracy malarskiej, zadokumento- wał „zerwanie z metafizy- ką” w oryginalny sposób: spalił publicznie w Modenie na Piazza Grande dwadzie- ścia własnych obrazów wy- chwalanych przez krytykę.

SS STANDARTE LITE- RATUR — pod tym tytułem organ SPD „Vorwärts” zamieścił interesujące infor- macje o losach wybitnych autorów literatury. Czy- tam tam, że w Niemczech zachodnich „pogrobowcem i podpalaczem książek Hel- nego, Tomasza i Henryka Mann, Stefana Zweiga, Tucholsky’ego i in. powodził się jak za starych obcych czasów. Kohorta intelektu- alna Fuehrera zachowuje się dokładnie tak jak wte- dy goi przy wyprawie pa- rasytów na literaturę nie- miecką. Byli przewodniczą- cymi Reichsschrifttumskam- mer (naczelna hitlerowska organizacja pisarzy) Hans Fridrich Blunck jest hono- rowany w gazetach milita- ryzów jako największy poe- ta współczesności. Naczelny poeta SA dr Herbert Boeh- me organizuje pod firmą „Stuka” hitlerowskie kon- koncerty i imprezy naro- dowo-socjalistyczne. Ri- chard Euringer, który za- służenie otrzymał w r. 1934 pierwszą literacką nagrodę reżimu obywateli koncen- tracyjnych, wydaje książkę pt. „Jesteśmy internowani” (o- powiada w niej o „okru- cieństwach” pobytu w nie- woli amerykańskiej). Grim-

O UROZCZYSTOŚCIACH MICKIEWICZOWSKICH w WEIMARZE zamieścił ob- szerną notatkę berliński ty- godnik „Sonntag”. W no- tacie przypomniano spotka- nie Mickiewicza i Goethego, opawiając przy okazji es- lokształt twórczości Mickie- wicza i jej znaczenie. Zacytowano również frag- ment przemówienia, które wygłosił jako jeden z dele- gatów ZLP Ryszard Ma- tuszewski.

MIEDZYNARODOWY FE- STIWAL BALETU rozpo- czął się 7 bm. w Genewie. W festiwalu bierze udział kil- ka wielkich szkół balet- owych. Występował m. in. francuski Grand Ballet du Marquis de Cuevas, Dance American Theatre z Nowe- go Jorku, japoński zespół Azuma Kabuki i Jugosła- wiański Balet Narodowy z Zagrzebia. Występy odby- wają się pod gołym niebem, jak pisze prasa, w jednym z najpiękniejszych parków świata.

IRENY KRZYWICKIEJ „Setha buducności” (drugi tom „Rodziny Martenów”) ukazała się w tych dniach na półkach księgarń cze- chosłowackich, nakładem praskiego wydawnictwa „Młoda fronta”.

„CZY SIĘ ROZWIEDZIE- MY?” — to tytuł nowej ko- medii współczesnej, której autorem jest dramaturg czeski Ota Szafranek. Ko- media ta (inny tytuł „Gozie i kiedy?”) cieszy się w Czechosłowacji wielkim powodzeniem. Trzecia „Czy się rozwiedziemy?” sa pe- rypetie młodego małże- stwa, wynikające z równo- uprawnienia kobiet i mę- żczyzn w nowych warun- kach społecznych.

DORIS LESSING, WY- BITNA PISARKA POŁUD- NIOWO-AFRYKAŃSKA, a- uorka powieści „Tawa śpiewa”, trylogii „Dzieci przemocy” i znakomitego tomu nowel „Pięć” napisa- do wielkiego tygodnika li- terackiego „Contempora- neo” interesujący artykuł o literaturze południowo- afrykańskiej, w którym twierdzi, że współczesna literatura angielska to „sta- ry pich, w którym młode, ży- wotne siły wiewają pisarzy kolonii i dominiów”. Doris Lessing omawia w pierw- szym rzędzie twórczość kla- syków. Do najważniejsz- szych z nich należy Olive Schreiner, autorka „Histo- ri po południowo-afrykańskiej fermi”. „Burzliwych szczy- tów” i in. „artykuł” femi- nistka i rewolucjonistka o- samotniona w swym buncie przeciw epoce i środowisku. Olive Schreiner za walkę z przemocą i konserwatyz- mem pociągnęła za sobą i- szczęściem osobistym. W tym roku obchodził się w Afryce uroczyste stulecie jej urodzin. Inny pisarz południowo-afrykański, Wolf wachał odznaczyć się m. in. tym, że zdemaskował w swojej twórczości niedo- rzeczną teorię tzw. „tajem- niczej duszy afrykańskiej”, która służyła kolonizatorom w ich grabieżczych i mor- derczych poczynaniach. Przedtem walkę o sprawie- dliwość i zemstę za doznane krzywdy uznawano w lite- raturze południowo-afry-kańskiej za „niezrozumiały, nie dający się przewidzieć „wybryk”, godny najwy- ższej kary wymierzanej w celach „wychowawczych”. Kara była przy tym częścią integralną procesu „cywili- zacyjnego”. Wolf Sachs na- pisał kilkanaście książek, których tematem jest prze- ważnie ucieczka Murzynów ze wsi do miast i ich próby utrzymania się przy życiu kończące się niepowodze- niem. Trzecim z wybitnych pisarzy południowo-afry-kańskich jest Alan Paton, autor książki „Plaż, o- chany kraju”. Ten „best- seller” zdemaskował przed całym światem okrucień- stwa systemu panującego w Afryce Południowej. Doris Lessing wymienia również nazwisko Nadine Gordimer, omawiając książkę pt. „Dni kłamstwa”. Są to dzieła młodej dziewczyny z przed- mięś Johannesburga. Dzie- cyna poznaje i odrzuca e- lementy tej kultury bia- łych, jaką kolonizatorzy starają się wpoić swym dzieciom. Jak widać z twórczości Nadine Gordi- mer, konflikty społeczne zajmują coraz więcej miej- sca we współczesnej lite- raturze południowo-afry-kańskiej. Jedną z najnowszych książek wybitnych w Afry- ce Południowej jest po- wieść Jacka Cope’a „Dobry dom”. Jack Cope, znany dziennikarz postępowy, po- chodzi z rodziny uczestnika walk z Zulusami (r. 1906). Po- stużył się tem tych walk, by opowiedzieć o życiu wła- ścielcy ziemskiego, libera- la, który wychowany w przyjaźni dla Zulusów stał zmuszony przez ok-oliczności wystąpić przeciw nim. Szczególnie sugestyw- ne w tej książce Jacka Cope’a są — zdaniem Doris Lessing — opisy walk mie- dzy brutalnymi oddziałami wojsk angielskich a bez- bronnymi Zulusami. Opisy te przypominają bardzo ży- wo ostatnie wydarzenia w Kenii.

ANDRZEJ BIANUSZ

Ambicje

Tak co dzień.

Już na spoczynek

Odwozi Heliosa fiakier,

Olimp śpi — lecz wciąż do Apollina

Modły płyną jednaki

Z nadzieją spogląda w górę

Brac dziwnie szara i drobna

A modły przychodzą — chórem

Choć każdy prosi z osobna.

Każdy unosi ręce

Każdy nadzieję ma w cudzie:

Że nagle się stanie czymś więcej

Niż tacy zwyczajni ludzie

ŻE NAGLE SIĘ STANIE

CZYMŚ WIĘCEJ, NIŻ TACY ZWYCZAJNI
LUDZIE

I słowa wznoszą się górną

A refren tych prośb niezmienny:

Ach daj! daj mi być choćby durniem

Lecz durniem-niecodziennym.

JAN HUSZCZA

Typ z dyskusji

Żyje w każdej twórczej gromadzie,
typ, co z myślami się nie zdradzi!

Inni o sztuce się sprzecają,
on siedzi jak pod miedzą zajac.

Inni się kłócą niestrudzenie,
do niego trafia zamówienie...

Ten i ów popada w niełaskę,
nieprzemakalną on ma maskę!

Inni pragną kształtować czasy,
a on już w kolejce do kasy!

Wszyscy zawzięci adwersarze,
mle dla niego mają twarze!

Gdy o innych sprzeczne są zdania,
jemu sprzyja słowko uznania.

Ci nie żalują swoich godzin,
pot z nich spływa, oczy im ślepi...

On pierwszy z dyskusyj wychodzi
i na tym wychodzi najlepiej!

Nowe książki

HENRYK FIELDING „HISTO-RIA ZYCIA TOMASA JONESA CZYLI DZIEJE PODRZUTKA”. Przełożyła Anna Bidwell PIW 1955, cena tomu I/II zł 40,00.

W roku 1749 angielski rynek wydawniczy pochłonił pięć nakła- dów „Toma Jonesa”. Równocześnie wrogowie Fieldinga rzucili się na niego. Czasopismo „Old England” nazwało powieść „bękarcia i cudzo- lożną historią cuchnącego podrzut- ka”. Do najbardziej nieprzejedna- nych, chłoszczących autora obra- żliwymi obelgami należał purytanin Richardson, jego przyjaciel — kry- tyk literacki Samuel Johnson, a także Tobiasz Smollet autor wy- mierzonego w Fieldinga paszkwilu „Habakuk Hilding”, w którym po- mawia Fieldinga o plagiat. Wśród chóru oburzonych nie brakło głosu przedstawicieli kościoła. Fielding naraził się ostrą krytyką korupcji, lotrostwa, obłudy i filisterstwa „wyższych sfer” społeczeństwa an- gielskiego.

Włodzimierz Lewik pisze w po- stowiu do tej książki: „Fieldingo- wi udało się w „Tomie Jonesie” jak żadnemu ze współczesnych po- przez perypetie zakochanej pary — Toma i Zofii Western — ukazać obszerne niejako panoramiczny obraz Anglii lat czterdziestych pią- tych”. Autor postawia analizując

powieść Fieldinga podkreśla jej wysokie i wielorakie walory ar- tystyczne i konkluduje: „Wszystkie te elementy złożyły się w sumie na jeden z najbardziej realistycznych obrazów XVIII wieku w literaturze angielskiej sprawiając — co jeszcze wyżej podnosi rangę tego dzieła — że „Tom Jones” jest już tylko eposem narodowym, ale eposem o ludzkiej naturze, eposem o człowieku”.

BENITO PEREZ GALDOS „SA- RAGOSSA”. Tłumaczyli Zofia Sze- leyen i Kalina Wojciechowska. Wstę- pem opatrzyła Zofia Szeleyen. Czy- telnik 1955, cena zł 24,40.

Benito Perez Galdos (1843—1920) to jeden z najwybitniejszych pisa- rzy hiszpańskich. Jest on autorem stu z górą książek, pośród których „Epizody narodowe” — eposa hi- storyczna XIX wieku w Hiszpanii liczy 46 tomów. Pozostałe utwo- ry to luźne, niepowiązane z cyklem powieści historyczne, obyczajowe i dramaty. Perez Galdos w latach 1868-75, w okresie rewolucyjnego przemian hiszpańskiego imperium był czynnie zaangażowany po stro- nie sił postępu. Jako poseł Puerto Rico brał udział w walkach parla- mentarnych, a jako znakomity pu- blicysta — we wszystkich polemik- kach. W tym samym czasie wydaje

już także pierwsze powieści wiel- kiego historycznego cyklu.

W tomie objętym wspólnym ty- tułem „Saragossa” znajdują się po- wieści: „Marzec i maj”, „Bailen”, i „Saragossa”.

Zofia Szeleyenowa tłumaczka i autorka obszernego wstępu pisze: „Oddając w ręce czytelnika polskie- go fragmenty pierwszego cyklu na- rodowej epopei Pereza Galdosa, staraliśmy się zestawiać wybór naj- silniej z sobą powiązanych, a za- razem najcenniejszych powieści cy- klu tak, aby jak najmniej uronić z wątku beletrystycznego i nie za- traćcić snującej się wraz z nim hi- storii Hiszpanii. Akcja powieści pierwszego cyklu „Epizodów naro- dowych” jest nam szczególnie bliska i przez to, że toczy się na tych polach walk, gdzie po raz pierwszy los Polski związał się z losami Hiszpanii — wówczas przeciwsta- wiając jej sobie. Wówczas polscy u- tani gość w serce synów ludu hiszpańskiego nie pogrążali, że pośrednio gość w serce własnego ludu. Tudela, Samosierra, Bailen i Saragossa polskich ulanów potę- piona została przez sąd historii, przed którym tak jasnowidząco ostrzegali Żeromski i lud walczący przeciw wolności innego narodu. Zrozumiał to „pierwszy polski hu- fiec obrońców demokracji jak na- zwał w 1945 roku Dąbrowszczałów Bolesław Bierut”.

GEZA HEGEDŰS „MIASTO WSZELAKIEJ WIEDZY”. Tłuma- czyła Helena Csorba. Postulowiem opatrzył dr Andrzej Nowicki. Czy- telnik 1955, cena zł 7,40.

„Miało wszelakiej wiedzy” węg- ierskiego pisarza Gezy Hegedűsa jest powieścią historyczną, przeno- szącą czytelnika w czasy średnio- wiecza. Akcja jej rozgrywa się w roku 1218 w Paryżu w środowisku uniwersyteckim. Autor wprowadza do powieści m. in. postać filozofa ideologa Alberta Wielkiego, przy- pisując mu zresztą sprzeczne z prawdą historyczną rolę inicjatora reform na Uniwersytecie paryskim. Zamiarem Hegedűsa było pokaza- nie związków między walkami kla- sowymi w tym okresie, a walką jaka toczyła się wśród scholasty- ków, w której kryterium postępo- wości był stosunek do nauk przy- rodniczych i metod badań nauko- wych. Autor pragnął pokazać naj- istotniejsze konflikty tej epoki z punktu widzenia marksistowskiego. „Jednakże — pisze dr Andrzej No- wicki — spór między królem i kupcami z jednej strony, a baro- nami i kościołem z drugiej, był — mimo wszystko — sporem drugo- rzędnym, który niestety zasłonił zupełnie autorowi podstawowy kon- flikt epoki; walkę chłopów ze wszystkimi wyzyskiwaczami feu- dalnymi, małymi i wielkimi, świec- kimi i duchownymi... Mimo pew- nych niedociągnięć powieść ta przyczyniła się do poznania praw- dziwego oblicza średniowiecznej Francji”.

Książka Hegedűsa jest barwna, żywo napisana, z dużym znan- stwem i bogactwem realiów. Wpro-

wadza znakomicie w życie ówczes- nego Paryża, naświetla problemy intelektualne frapujące uczonych i scholarów, pokazuje reprezentan- tów kupiectwa. Postać centralną powieści jest bardzo ciekawa po- stać węgierskiego szlachcica Poszy.

ELIZA ORZESZKOWA „LISTY ZEBRANE”. Tom II Ossolineum 1955, cena zł 39,00.

Tom II „Listów zebranych” Elizy Orzeszkowej (pod redakcją Jana Baculewskiego) zawiera listy wiel- kiej pisarki do Leopolda Męty. Przygotował je do druku i opatrzył komentarem Edmund Jankowski.

Ludwik Męty — to adwokat i literat warszawski (1815—1912) posiadacz jednego z najokazalszych zbiorów artystycznych. Próbował swoich sił jako pisarz — wydał dwa tomy nowel „Do nieznajomej” i „Liście” — drukował także anoni- mowo wiersze w „Kłosach”. Poza tym zajmował się pracą naukową, wydał dwa tomy „Listów Sło- wackiego”, ale i w tej dziedzinie, podobnie jak w literaturze nie o- siągnął większych rezultatów. Był autorem przyczynków do twórczości Mickiewicza, Słowackiego i Orzesz- kowej. Opracował terminy prawni- cze dla „Słownika języka polskie- go” Karłowicza, Kryńskiego i Nie- dźwiedzkiego. Był także działac- czem społecznym. Wraz z Dygasiń- skim i Chmielewskim założył spól-

kę nakładową, pewne sumy włas- nych funduszy przeznaczył na szkołę żydowską. Dzisiaj — ratuje Mętya od zapomnienia jego kores- pondencja z Orzeszkową. Jankow- ski pisze: „Wygodni i sybaryta w życiu codziennym, nie cofa się przed drobnymi uderkami dla wy- konywania niezliczonych poleceń grodzieńskiej przyjaciółki i jej „dworu”. „Orzeszkowa obdarzała go sympatią, ale w jej koresponden- cji z warszawskim adwokatem nie było tego tonu serdeczności, który cechował jej listy do Tadeusza Bochwica, ani ożywienia intelek- tualnego korespondencji z Karłowic- zem czy Drogoszewskim. Listy Orzeszkowej do Mętya drukowane po raz pierwszy w całości to zna- czy w tej ilości, która się zacho- wała (337) pochodzą z archiwum Elizy Orzeszkowej Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk. Z listów Mętya do Orzesz- kowej ocalało około 700 i wybór ciekawszych spośród nich ukaże się w tomie dziesiątym „Listów Ze- branych”.

Tom „Opracowany został z całą naukową odpowiedzialnością i pięk- nie wydany w płóciennym oprawie na dobrym papierze. Egzemplarz na- deślan do redakcji jest jednak do- wodem brakorobstwa introligator- ni.

Kilka pierwszych kart wraz z portretem Orzeszkowej wypadło z tomu.

K. Nast.